

Hrabyk, Klaudiusz

Wspomnienia, cz. VII

Rocznik Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego 11/2, 257-296

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KLAUDIUSZ HRABYK

WSPOMNIENIA

Bieżący fragment *Wspomnień* Klaudiusza Hrabyka obejmuje końcowy etap jego działalności lwowskiej w „Dzienniku Polskim” do r. 1937 i wstępny rozdział dotyczący okresu warszawskiego w „Kurierze Porannym” od lipca 1937 do września 1939 r.

Redakcja

W dniu 16 maja 1936 r. na miejsce gabinetu Zyndrama-Kościąłkowskiego mianowany został rząd Sławoja-Składkowskiego, w którym wice-premierem został Eugeniusz Kwiatkowski, ministrami: spraw zagranicznych Józef Beck, spraw wojskowych Kasprzycki, sprawiedliwości W. Grabowski, oświaty W. Świętosławski, rolnictwa Poniatowski, przemysłu i handlu Roman, komunikacji Ulrych, opieki społecznej Kościąłkowski, poczt i telegrafu Kaliński. Zarówno osoba premiera, jak i skład nowego gabinetu miały niedwuznaczną wymowę. Oznaczały kurs „silnej ręki” w porównaniu z rządem Kościąłkowskiego, w którego okresie sytuacja wewnętrzna w Polsce wyróżniała się poważnymi zaburzeniami i wzmagającym się naporem, szczególnie lewicy. Do najgłośniejszych wydarzeń należały wypadki marcowe w fabryce „Semperit” w Krakowie, w których na czoło wysunęli się komuniści.

Fala zaburzeń uderzyła również o Lwów, w którym na ogół nigdy dotąd nie dochodziło do zbyt gwałtownych wystąpień lewicy. Pochody pierwszomajowe we Lwowie z reguły przebiegały spokojnie, a strajki odbywały się bez większych incydentów. Toteż to, co stało się we Lwowie w kwietniu 1936 r., nie tylko było zupełnym zaskoczeniem, ale miało znamiona regularnej rewolucji. Zaczęło się od zajęć wynikłych podczas strajku robotników budowlanych, w czasie których podczas demonstracji na Placu Akademickim w samym centrum miasta został zabity 23-letni robotnik Władysław Kozak. Równocześnie ranny został robotnik Antoni Sereda. Policja w obawie, aby nie doszło do nowych demonstracji podczas pogrzebu zabitego, zakazała pochować zabitego Kozaka na cmentarzu Janowskim i zorganizowała pogrzeb na cmentarzu Łyczakow-

skim. Na pogrzeb przybyły ogromne masy robotników i doraźną decyzją postanowiono pochować zabitego towarzysza na cmentarzu Janowskim, który we Lwowie uchodził za miejsce spoczynku ludzi uboższych. Cmentarz Janowski leżał po przeciwnej stronie miasta. Potężny kondukt ruszył ulicą Piekarską w stronę śródmieścia, ku placowi Bernardyńskiemu i Halickiemu. Pierwsze starcie z policją, która usiłowała powstrzymać maszerujące szeregi i ustawiła kordony na stosunkowo wąskiej ulicy Piekarskiej, nastąpiło na rogu ul. Żulińskiego. Starcie skończyło się zwycięstwem nacierających tłumów, które przerwały kordon i z trumną niesioną na ramionach robotniczych z jeszcze większym impetem ruszyły przed siebie. Policja zastąpiła im drogę ponownie na obszernym już placu Bernardyńskim. Napór jednak coraz większych tłumów przełamał i tutaj opór policji, która wpadła w panikę i zaczęła wtedy strzelać do robotników. Strzały wzburzyły robotników, którzy po przełamaniu kordonów policyjnych ruszyli szybkim marszem, napotykając trzecią linię oporu, tym razem na placu Halickim. Ale było już za późno na wszelkie próby rozpraszania demonstrantów. Pogrzeb zamienił się w groźne rozruchy, które jak pożar ogarnęły wkrótce całe niemal miasto. Trumnę ze zwłokami Kozaka niesiono ponad szalejącą zawieruchą, przy czym kilka razy zwłoki wypadały na jezdnię, ponieważ niosący je na zmianę robotnicy biegnąc, tracili chwilami wspólny krok. Tragiczny pogrzeb parł niepowstrzymanie naprzód, a tłumy rzuciły się na sklepy, demolując je i niszcząc. Wybijano szyby, wywracano auta i wozy. Na ulicy Kazimierzowskiej w pobliżu komendy policji nastąpiło czwarte starcie z oddziałami policyjnymi, które i tym razem uległy tłumom.

Władza została nie tylko pokonana, ale i unieruchomiona. Plac Bernardyński i Halicki, ulica Grodecka i Leona Sapiehy zasypane były szkłem z rozbitych szyb wystawowych. Było wielu zabitych i rannych. Ich liczba nie została nigdy ogłoszona. Rozruchy trwały bez przerwy do godziny jedenastej w nocy. Zdawało się, że w ciągu tych godzin wyzwoliły się w tłumach lwowskich robotników demony, tratujące bezlitośnie wszystko napotkane na swojej drodze. Była to groźna, ale jednak wspaniała eksplozja rewolucji, która uderzyła w miasto spowite dotąd w spokojny klimat codziennego, ustabilizowanego życia, jeśli nie liczyć studenckich awantur ulicznych i bezkrwawych zatargów z policją. Był to przedsmak potężnego, rewolucyjnego gniewu ludzkiego, dotąd na co dzień nie spostrzeganego, drzemającego w masach doprowadzonych do rozpaczycy coraz bardziej pogarszającą się sytuacją gospodarczą, oznaczającą coraz większą nędzę wśród robotników. Wybuch ten stał się płomieniem z jasnego nieba nie tylko dla ludzi nie zdających sobie należytej sprawy z tych nastrojów i z istniejącego stanu rzeczy, ale również dla organizatorów pogrzebu Kozaka, którymi byli działacze PPS, Szczy-

rek i jego najbliżsi towarzysze. Prokurator za winnych rewolty lwowskiej uznał komitet pogrzebowy złożony m. in. z Jana Kusznira i Bronisława Skalaka, redaktora „Dziennika Ludowego”. W rzeczywistości rozmiary wypadków przeszły intencje organizatorów i wymknęły im się z rąk. Lwowska PPS była przerażona przebiegiem wypadków tak samo jak władze policyjne i rządowe.

Władze straciły zupełnie głowę. Tego dnia wieczorem cenzura zawiadomiła redakcję, że w najbliższym numerze nie przepuści żadnej wzmianki ani komentarzy o wypadkach i że będzie można ogłosić tylko komunikat urzędowy, który jednak nie jest jeszcze gotów i nie wiadomo, czy zostanie doręczony w ciągu nocy. Wysłuchałem spokojnie tej zapowiedzi i oświadczyłem cenzorowi, aby ani przez chwilę nie łudził się, że zastosują się do tego absurdałnego zarządzenia. „Miasto — powiedziałem — znajduje się pod najgłębszym wrażeniem tego, co zaszło. Jest to najważniejsze wydarzenie, o którego szczegółach jutro rano czytelnicy będą chcieli dowiedzieć się z prasy i znaleźć w pismach wyjaśnienie tła i motywów tej rewolty. Zarządzenie cenzury zdąży do tego, aby wyjaśnić tych nie udzielić i nie stwierdzić szczegółów, które każdy człowiek we Lwowie może osobiście oglądać na ulicach. Chcecie zapewne — oświadczyłem cenzorowi — pomóc plotkom i tatarskim wieściom, które zajmą wtedy miejsce prasowej informacji. I chcecie również, aby mój dziennik udając, że nie zauważył dzisiejszych wypadków na ulicach, stracił raz na zawsze zaufanie społeczeństwa. Jutro rano w pismach warszawskich i w krakowskim »IKC«, które nadejdą do Lwowa, znajdą się obszernie relacje o wypadkach lwowskich i tylko my we Lwowie mamy być ich pozbawieni. Niech pan na to nie liczy, panie cenzorze. Ogłosimy wszystko, co wiemy, a pan niech nas konfiskuje. Jeżeli mało panu wojny na ulicach, niech pan zacznie dodatkową wojnę z nami”.

W nocy dostarczoneo zwięzłego komunikatu o rewolcie, resztę uzupełniliśmy własnymi relacjami.

Nazajutrz PPS proklamowała strajk powszechny, który był jedynym ratunkiem, aby zapanować nad masami i uspokoić wzburzone nastroje. Policja aresztowała 600 osób, z czego przeciw trzystu skierowano akty oskarżenia. Rząd nie podjął jednak próby urządzenia masowego procesu; ograniczono się do wielu indywidualnych, drobnych procesów z oskarżenia o różne przestępstwa natury kryminalnej, popełnione w czasie ruchów przy rozbijaniu i demolowaniu sklepów.

Pamiętam, że w dniu rewolty do redakcji wpadł jeden z „rybałtów”, Maciej Freudman, i z ogniem w oczach wezwał obecnych na barykady. Oświadczyłem mu wtedy, że jeśli jego zapal każe mu stanąć na barykadach, nie stawiam żadnych przeszkód, wzywam go jednak, aby nie budował mi „barykady” w redakcji.

Pamiętam również inny incydent z tego dnia. W dorywczej współpracy z nami zostawał popularny we Lwowie „Szanio”, młody Żyd zajmujący się kolportażem i uliczną sprzedażą gazet. „Szanio” wyróżniał się charakterystyczną sylwetką, był bowiem opasły, ale niebywale zwinny, a ubrany niedbale przedstawiał sobą typ rozchełstanego, jak byśmy dziś powiedzieli, chuligana wzbudzającego jednak sympatię swoją werwą i inicjatywą. „Szanio” cieszył się ogromną popularnością i posłuchem chłopców sprzedających gazety i był jak gdyby ich szefem. Jego obrotność handlowa sprawiała, że posiadał nie rejestrowane przedsiębiorstwo sprzedaży gazet, szczególnie nadzwyczajnych wydań. Obserwowałem go nieraz przy tej ciężkiej pracy. Zawiadomiony o nadzwyczajnym wydaniu, które dość często wydawaliśmy, „Szanio” wpadał w prawdziwą ekstazę. Przybywał do gmachu redakcji ze zgrają podległych mu chłopców i kiedy z drukarni wydano pierwsze setki, a czasem tysiące egzemplarzy, „Szanio” chwycił niemal cały nakład na ręce i otoczony zwartym tłumem chłopaków, przyciśnięty do muru, wśród nieopisanej wrzawy wydawał poszczególnym sprzedawcom różne ilości gazet. W zwartym tłumie oceniał na oko zarówno ilość wydawanych egzemplarzy, jak i poszczególnych sprzedawców znanych mu ze sprawności w sprzedawaniu nadzwyczajnych wydań. Niczego nie zapisywał i nie notował, ufając wyłącznie swojej pamięci. Mniej sprawni dostawali drobną garstkę gazet, chociaż bezskutecznie błagali o większą ilość, większe pakiety wpadały w ręce wypróbowanych przyjaciół szefa gangu. Wszystko odbywało się w błyskawicznym tempie, wśród pozornego chaosu i nieopisanego zamieszania, w którym istniał jednak twardy system oparty na gruntownym doświadczeniu „Szania” i jego znajomości środowiska. Zziąjany, z obłądnymi oczami i czerwoną z wyczerpania twarzą, „Szanio” na końcu porywał największą ilość gazet i przytrzymując raz po raz opadające mu spodnie, objuczony gazetami wybiegał na ulicę w rozwianej koszuli i zachrypłym głosem reklamując głośnym wrzaskiem nadzwyczajne wydanie, sprzedawał je w ciągu kilkunastu minut. Był w tej dziedzinie prawdziwym, niedościgłym mistrzem. Po sprzedaniu swej części przystępował do inkasowania pieniędzy u sprzedawców rozrzuconych po całym mieście. Nam wpłacał gotówkę po wyprzedaniu całego nakładu. Nigdy nie zawodził w solidności.

Pozostawałem z „Szaniem” w przyjaznych, a nawet serdecznych stosunkach, on zaś traktował mnie z pewną dozą poufałości, uzasadnionej poczuciem wspólnie wykonywanego zadania. Ja gazetę redagowałem, on ją skutecznie rozprowadzał, nie mówiąc już o tym, że posiadał znakomicie wyrobiony instynkt aktualności. Jeżeli tylko działało się coś szczególnie ważnego w świecie lub w Polsce, „Szanio” niezawodnie zjawiał się w redakcji, wchodził do mego gabinetu i zapytywał, czy ukaze się

wydanie nadzwyczajne. Umiał również doskonale ocenić wartość i atrakcyjność ogłoszonej wiadomości, obliczając bezbłędnie, jaki będzie potrzebny nakład i jakich przysporzy on dochodów jemu i wydawnictwu.

I otóż w czasie kwietniowych wypadków we Lwowie policja aresztowała naszego „Szania” podobno w momencie, gdy kamieniem wybijał szybę w reprezentacyjnym gmachu lokalu George’a. Oskarżony został o powiązania z komunistami i znalazł się w więzieniu. Kiedy mi o tym doniesiono, udałem się do prokuratora i wytłumaczyłem mu, że „Szanio” szyby chyba nie wybił i padł ofiarą pomyłki agentów, a po drugie nie ma on na pewno nic wspólnego z komunistami, ponieważ jest lojalnym, a nawet gorliwym sprzedawcą naszej gazety. Poprosiłem prokuratora o zwolnienie „Szania”. Wkrótce „Szania” wypuszczono, ale nigdy nie dowiedziałem się, czy rzeczywiście tłukł on szyby u George’a. Być może, porwany atmosferą rewolucyjną, chciał się przyczynić w ten sposób do jej spotęgowania, pragnąc przysporzyć wypadków stosownych dla nadzwyczajnego wydania. Jeżeli takie były jego intencje, gotów mu byłem wszystko wybaczyć jako entuzjastę sensacji, tak nieodzownej dla wydań nadzwyczajnych.

Wypadki wstrząsnęły naszą całą redakcją. Stało się rzeczą jasną, że żyjemy mirażem, ludząc się, że całe społeczeństwo wyznaje zasady zgodne lub zbliżone do naszych. Lwów ujawnił inną stronę oblicza, które przyzwyczailiśmy się uważać za na ogół jednolite. Mimo to nie zamierzaliśmy rezygnować z naszej postawy, którą w najgłębszym przekonaniu uznawaliśmy wtedy za jedynie słuszną dla interesów Polski.

Kiedy Stanisław Grabski na łamach prasy warszawskiej uzasadniał motywy wypadków lwowskich i wziął je w obronę, napisałem odpowiedź na te wywody w artykule *Determinacja czy komuniści?* Artykuły Grabskiego przedrukował lwowski „Wiek Nowy”. Grabski podkreślał w swoim wystąpieniu determinację demonstrantów lwowskich, co w jego przekonaniu dowodziło ich głębokiego przekonania co do słuszności postulatów i stanowiska, natomiast wykluczał jakiegokolwiek inspiracje komunistyczne. W mojej odpowiedzi powołałem się na książkę S. Grabskiego pt. *Rewolucja*, ogłoszoną po pierwszej wojnie, a dotyczącej Rewolucji Październikowej, w której autor jako główną cechę rewolucjonistów rosyjskich wymieniał właśnie determinację i pogardę śmierci. Chociaż we Lwowie, jak można było sądzić, rewolta nie była planowanym dziełem komunistów, to jednak — dowodziłem — miała ona cechy komunistycznej rewolucji.

W miesiąc później Stanisławowa Blumenfeldowa, pisząc w „Sygnałach” o zjeździe lwowskich intelektualistów, stwierdzała komunistyczny charakter rewolty lwowskiej, pomimo że organizacja demonstracji należała do PPS. Socjaliści lwowscy na łamach swego dziennika zaprzeczyli

ocenie Blumenfeldowej, utrzymując — zresztą gołosłownie — że wydarzenia pozostawały przez cały czas pod kontrolą PPS. W rzeczywistości teza pepesowska była mylna, chociaż nie całkowicie prawdziwe było również twierdzenie Blumenfeldowej w „Sygnałach”. Rewolta lwowska miała charakter wybitnie spontaniczny i była reakcją nagromadzonego gniewu ludzkiego i rozpaczę głodujących ludzi.

Nie aprobowaliśmy takich form działania na terenie Lwowa ze względu na specyficzny charakter tego miasta. „Próba czerwonego frontu we Lwowie — pisałem wtedy — musi być skazana z góry na klęskę. »Czerwony front« jest sprzeczny z naturą, charakterem i rolą Lwowa, jaką spełnia on w życiu państwowym i narodowym Polski”.

Pomyliłem się, głosząc wówczas ten pogląd. Jak w wielu innych sprawach nie byłem w tym jednak odosobniony i wyrażałem opinię tych czynników, które ponosiły odpowiedzialność za sytuację w Polsce. Dotyczyło to nie tylko obozu rządowego, ale również opozycji z PPS włącznie. W osiem lat później fakty obaliły nasze wspólne złudzenia. Nie rozumiałem przedtem, podobnie jak nie rozumiała większość społeczeństwa, że „czerwony front” ogarnia całą Polskę, a nie tylko Lwów, i że powoli, ale nieuchronnie ku niemu się zbliża, aby w końcu, w wyniku drugiej wojny światowej stać się siłą kierowniczą państwa [...].

W miesiąc po zajściach lwowskich odbył się w Teatrze Miejskim we Lwowie zjazd intelektualistów, nazwany „zjazdem pracowników kultury”, który zakończono okrzykiem „Do widzenia w czerwonej Warszawie!” Potraktowano to na ogół jako slogan propagandowy bez większego praktycznego znaczenia. W osiem i pół roku później nad Warszawą załopotały jednak czerwone sztandary jako symbol władzy państwowej ustanowionej pół roku przedtem w Lublinie i proklamowanej w Manifestie Lipcowym. Prasa lwowska w 1936 r. zaledwie odnotowała obrady zjazdu lwowskiego, pomijając milczeniem pełny jego przebieg, treść dyskusji i uchwał. Na zjeździe nie zjawili się nawet wszyscy sprawozdawcy prasowi, chociaż było to wówczas najważniejsze chyba zebranie we Lwowie, jakie odbyło się tam na kilka lat przed wojną. Świadczyło to — co należy stwierdzić po wielu latach — o bezmiarze naszej nieświadomości i o braku wyobraźni, jaki towarzyszył nam w tym czasie.

Organem prasowym zbliżonym do sanacji, który w tym czasie angażował częściowo swoje sympatie na rzecz zarówno zająć lwowskich, jak i zjazdu intelektualistów, i ogłaszał różne artykuły odbiegające od obowiązującego szablonu polegającego na popieraniu zasad konstytucji kwietniowej, był „Wiek Nowy”. „Słowo Narodowe” jako organ endecki nie popierało konstytucji kwietniowej, ale nie wypowiadało się również za tendencjami lewicowymi, zajmując się propagowaniem idei „państwa narodowego” z wszystkimi jej konsekwencjami antysemitycznymi i antyukraiń-

skimi. Stanowisko „Wieków Nowego” zwróciło więc uwagę i nasunęło podejrzenia, że w jego wydawnictwie uzyskały wpływ inspiracje komunistyczne. Wiedzieliśmy bowiem, że socjaliści nie mają w tym piśmie oparcia, a naczelny redaktor „Wieków” Bronisław Laskownicki, w tym czasie już schorowany i mało czynny, był sztandarowym rzecznikiem demokracji dawnego pokroju, współdziałającym z obozem Piłsudskiego. W swoim czasie reprezentowała ten typ myślenia politycznego grupa demokratów krakowskich spod znaku „Nowej Reformy”, posiadająca swoje odgałęzienie również na gruncie lwowskim.

Drugim pismem codziennym tego wydawnictwa był „Express Wieczorny”, dziennik bulwarowy redagowany przez Janusza Laskownickiego, najmłodszego syna sędziwego seniora dziennikarzy lwowskich. Janusz Laskownicki nie cieszył się naszą sympatią z przyczyn, które trudno byłoby nawet określić. Pozycję i zasługi jego ojca zawsze szanowaliśmy, nawet wówczas, gdy dochodziło na ich tle do konfliktów, natomiast Janusz był dla nas dziennikarzem, który doszedł do wysokiej pozycji w swoim zawodzie jako syn znanego i zasłużonego ojca, co wydawało się nam metodą niewłaściwą i zbyt łatwą, bo nie popartą obiektywnymi wartościami. Budził ponadto zastrzeżenia poziom „Expressu” żerującego na instynktach tłumu, sprawach kryminalnych i sensacjach najniższego gatunku. W redakcji pracowało kilku dziennikarzy, niewątpliwie uzdolnionych, a wśród nich Stanisław Zalcemann, którego sympatie dla partii komunistycznej lub komunizmu w ogóle, nie były tajemnicą. Różne okoliczności wskazywały, że Zalcemann wywiera znaczny wpływ na polityczne tendencje zarówno „Expressu”, jak i pośrednio także i „Wieków”.

Podjęliśmy z obu pismami polemikę i rozwinęliśmy przeciw nim kampanię prasową. Staraliśmy się przede wszystkim podważyć zaufanie opinii publicznej do „Wieków Nowego” i stanowiska politycznego jego redaktora naczelnego. W związku z deputacją, która rzekomo pod przewodnictwem Bronisława Laskownickiego jako radnego miejskiego udała się do ustępującego prezydenta miasta Drojanowskiego prosząc go, aby pozostał na swym stanowisku, ogłosiłem artykuł pt. *Zastanawiające wzburzenie*. „Wiek Nowy”, zaprzeczając bowiem udziałowi red. Laskownickiego w delegacji, napiętnował gwałtownie ogłoszoną przez nas plotkę. W moim artykule napisałem wtedy: „Czy to uwłacza w czymkolwiek godności red. Bronisława Laskownickiego? Czy byłoby w tym coś złego, gdyby red. Bronisław Laskownicki rzeczywiście podążył z tego rodzaju deputacją do ratusza? Czyż wytrwale nie współpracował z prezydentem Drojanowskim od roku jako prezes największego (sanacyjnego) klubu radzieckiego w Radzie Miejskiej, czy nie aprobował polityki zarządu miasta na tym wysokim swoim stanowisku? Podobno (o czym do wczoraj nie wiedzieliśmy) red. Bronisław Laskownicki ustąpił przed dwoma ty-

godniami z tego stanowiska. Czyżby jednak odpowiedzialność red. B. Laskownickiego liczyła się naprawdę dopiero od dwu tygodni, a to wszystko, co było przedtem, miało iść w słodkie zapomnienie? Jesteśmy prawdziwie zdumieni. Dopóki prezydent Drojanowski był jako władarz miasta u góry, red. Laskownicki uważał za właściwe być prezesem klubu większości, która popierała politykę zarządu miasta. Ale kiedy prezydent Drojanowski odchodzi, red. Laskownicki przezornie »natychmiast« (»jeszcze przed dwoma tygodniami« — jak pisze »Wiek Nowy«) wycofuje się i uważa za potworną kalumnię pogłoskę, która powstała wśród poczciwych ludzi zapewne z najbardziej logicznego założenia: kto przez rok był prezesem klubu większości współpracującej z prezydentem miasta, ten nie opuści prezydenta w jego złej godzinie i zrobi wobec niego bodaj gest towarzyskiej życzliwości. Pozostanie jednak pamięć, że są jeszcze w Rzeczypospolitej ludzie szlachetnego ducha i prawdziwego charakteru”.

„Wiek Nowy” nie pozostawał bierny wobec naszej kampanii. Ogłaszał artykuły, których celem było podważenie z kolei naszego stanowiska. W jednym z nich zakwestionował nasze wystąpienia przeciw komunistom, określając je jako denuncjacje i przeciwstawiając im demokratyczną metodę walki. W tym duchu ukazały się zresztą artykuły również w „Sygnałach”, „Expressie Wieczornym” i „Trybunie Robotniczej”. Miało to cechy zsynchronizowanej akcji. Napisałem wtedy artykuł pt. *Metoda zakłamania*, w którym oświadczyłem: „W polityce prasa powołana jest m.in. do odsłaniania właściwych celów, zamiarów i oblicza przeciwników tego kierunku, którego organem jest dana prasa. Jest dobrym prawem socjalistycznej prasy wskazywać na faszyzm, jego źródła, ludzi i cele, jest rzeczą prasy żydowskiej walczyć z antysemityzmem, ujawniać jego sprężyny i metody. Tylko, że my nigdy nie oburzamy się ani jednym słowem, kiedy prasa naszych przeciwników nazywa nas prasą narodowego kierunku, organem faszyzmu itd. Mamy odwagę cywilną wyznawać jawnie naszą ideę i nigdyśmy jej nie ukrywali. Przeciwnicy zaś nasi tej odwagi nie posiadają. Starają się właściwe sympatie i cele ściśle zakonspirować. Wstydzą się ich i panicznie się boją, kiedy określamy ich rzeczywiste tendencje. To jest główna różnica między nami a nimi”.

Kulminacyjnym jednak punktem konfliktu stała się uchwała podjęta przez zarząd Syndykatu Dziennikarzy Lwowskich, w której poddano krytycznej ocenie stanowisko „Dziennika Polskiego” w sprawie jego kampanii antykomunistycznej. Uchwała była niewątpliwym naruszeniem zasady, że Syndykat jako organizacja zawodowa nie wypowiada się w żadnym wypadku w sprawie jakiegokolwiek stanowiska politycznego poszczególnych pism, ponieważ tylko przestrzeganie tej zasady gwaran-

towało w ramach jednej organizacji zawodowej współpracę wszystkich dziennikarzy bez względu na ich poglądy polityczne.

Zlekceważenie tej zasady spowodowało wśród znacznej grupy dziennikarzy lwowskich, nie tylko z „Dziennika Polskiego”, decyzję wystąpienia z Syndykatu Dziennikarzy Polskich jako organizacji, w której ze względu na istniejący układ sił w tym związku, znajdowaliśmy się w mniejszości i byliśmy majoryzowani przez większość złożoną z dziennikarzy pracujących w dwu pismach wydawnictwa „Wiek Nowy”, w syjonistycznym dzienniku „Chwila” i w endeckim „Słowie Narodowym”. To ostatnie pismo pomimo oczywistej sprzeczności natury ideologicznej, jaka różniła je od dwu pozostałych, ze względów taktycznych i „na złość” naszej grupie jako secesjonistów z endecji, stało murem za blokiem Bronisława Laskownickiego, używając jako argumentu hasła jedności organizacji zawodowej.

Ponadto istniały poszlaki, że uchwałę spowodowały również względy konkurencyjne; wydawcy innych dzienników upatrywali w nas potencjalne zagrożenie dla swoich wydawnictw ze względu na coraz bardziej wzrastającą popularność „Dziennika Polskiego” skupiającego, jak już wspomniałem, bardzo szeroki wachlarz pisarzy i publicystów, w tym grupę „rybaltów”, a więc znaczną część młodych pisarzy lwowskich.

W grudniu 1936 r. zdecydowaliśmy opuścić Syndykat, aby utworzyć odrębną organizację dziennikarską we Lwowie. Należałem do inicjatorów tego planu. Odbyło się zebranie przeze mnie zagajone, po czym po dyskusji powołaliśmy do życia Zrzeszenie Dziennikarzy Polskich Ziemi Południowo-Wschodnich. Jako motyw tej decyzji podaliśmy niemożność dalszego pozostawania w jednej organizacji z dziennikarzami, których postawa polityczna budzi nasze najdalej idące zastrzeżenia ze względu na ich sympatie dla komunizmu. Do komitetu organizacyjnego Zrzeszenia weszli wtedy Stanisław Starzewski, Aleksander Medyński, Tadeusz Bronisław Ulanowski, Stanisław Zachariasiewicz, Klaudiusz Hrabyc jako członkowie Syndykatu oraz spoza Syndykatu Maria Orzechowska, Marian Bartoń, Zdzisław Stahl, Mieczysław Piszczkowski, Maciej Freudman i Zygmunt Halber. Członkowie Syndykatu wystosowali pismo do jego prezydium, w którym oświadczyli: „Zgłaszamy wystąpienie z Syndykatu Dziennikarzy Lwowskich i prosimy o skreślenie nas z listy jego członków. Czynimy to wobec rozesłanego i ogłoszonego oświadczenia prezydium Syndykatu skierowanego przeciw akcji »Dziennika Polskiego« w sprawie walki z kulturobolszewizmem. Oświadczenie Syndykatu Dziennikarzy Lwowskich narusza zasadę zawodowego charakteru organizacji i stanowi jaskrawy dowód, że władze SDL nadużyły autorytetu organizacji do celów walki politycznej, ponadto zaś, na innym tle, rów-

niez wydawniczej. Ogłoszone oświadczenie piętnujemy jako metodę niebywałą w zawodowych stosunkach dziennikarskich”.

Dynamizm i inicjatywa redakcji „Dziennika Polskiego”, borykającego się zresztą stale z niemalymi kłopotami finansowymi, budziły naturalne zaniepokojenie w tych kołach lwowskich, które zajmowały stanowisko bądź niechętne, bądź wręcz wrogie wobec poglądów przez nas ogłoszonych. Formułowaliśmy je wyraźnie, unikając na ogół frazeologii czy „drętwej mowy”, jaką posługiwała się oficjalna prasa rządowa. Ton naszych artykułów dostosowany był do warunków Lwowa, w którym sanacja posiadała dość wątpliwie pozycje, chociaż także endecja miała je wtedy bardzo poważnie nadwerżone i zaczynała dopiero powoli zbierać swoje pogruchtane szeregi. W takiej atmosferze „Dziennik Polski”, popierający w zasadzie politykę rządu, ale zachowujący również spory margines odrębności poglądów w niektórych dziedzinach polityki wewnętrznej w państwie, tworzył dogodną platformę skupienia opinii publicznej, a raczej tej jej części, która upatrując zagrożenie ze strony lewicy, a zwłaszcza jej skrajnych skrzydeł, była przeciwna w ogóle wszelkim skrajnościom. Etykieta „faszyzmu”, jaką przyklejały nam koła lewicowe, była co najmniej problematyczna, chociażby dlatego, że zajmowaliśmy stanowisko zdecydowanie antyhitlerowskie.

„Jedno jest pewne — pisał Zdzisław Stahl po wyborach w Niemczech w marcu 1936 r. — w ręku Hitlera są Niemcy olbrzymim, zwartym blokiem, gotowe obrócić się i potoczyć, kiedy on tego zechce oraz w stronę, którą wskaże. Sąsiadom Hitlera nie wolno o tym zapomnieć”.

„Musi się wzmóc nasza czujność — pisałem w marcu po zajęciu Nadrenii przez wojska hitlerowskie — aby w momencie, kiedy cokolwiek dotyczyćłoby interesu naszych granic, decyzja mogła być podjęta samodzielnie przez nas przy pomocy własnych naszych sił”. Na ten sam temat pisałem następnie w maju tego samego roku: „Triumfuje ten, kto wykazał siłę. Może się to komuś podobać albo nie, może być wyznawcą takich lub innych zasad, ale życie i jego rzeczywistość są ważniejsze od wszelkich teorii. Zdani na obcą pomoc i przyjaźń, zostalibyśmy opuszczeni przez wszystkich, gdyby klęska stała się w jakimś historycznym momencie naszym udziałem. Nic nam nie pomogą wtedy sojusznicy i paktów zbiorowego bezpieczeństwa. Wszyscy — rzewnie płacząc — przyszliby handlować przy naszym trupie”.

W tym samym czasie na marginesie klęski cesarza Abisynii w wojnie z Włochami pisałem również: „Negus miał gwarantowaną pomoc całego świata. Był to bodaj jeden z nielicznych wypadków, że wszystkie niemal państwa stanęły po stronie jednej z walczących stron. I oto właśnie widzimy, jak się ta tragikomedja kończy. Negus mając własną, dobrą

armię i własne środki obrony, byłby zapewne zwyciężył. Ale władca Abisynii zawierzył sojusznikom”.

Polemizując z redaktorem jednego z czasopism ukraińskich Peleńskim napisałem w marcu tego roku. „Już pozostawiam red. Zenonowi Peleńskiemu rozwikłanie tego węzła, dlaczego mielibyśmy walczyć z Niemcami likwidując Rosję, co jest właśnie celem polityki niemieckiej, i po co mielibyśmy kawałkować Rosję, aby stworzyć na własnej naszej granicy blok państw będących instrumentem zamierzeń ekspansji Berlina”. Artykuł zawierający ten fragment ogłosiłem — nawiasem mówiąc — zamiast przemówienia przeznaczonego do dyskusji w czasie zebrania w Towarzystwie Kredytowym Ziemijskim na temat normalizacji stosunków polsko-ukraińskich.

Pisząc zaś wtedy na temat zasad polityki państwowej, określałem je m. in. następująco: „Powiązanie nacjonalizmu jako przewodniej idei państwa polskiego z zagadnieniem sprawiedliwości społecznej, nie jako hasłem walki klasowej, ale zasadą obronności państwa — staje się charakterystycznym znamieniem idącego dnia”. Dodawałem w tej samej wypowiedzi: „Cóż innego rzeczywiście może być celem nacjonalisty, jeśli nie to, aby jego państwo było mocne, sprawiedliwe, szanowane, samodzielne i poważnie traktowane? Ktokolwiek z ramienia odpowiedzialnego za państwo narodu realizuje te cele w jego życiu, realizuje nacjonalizm”. Rozwijając tę myśl pisałem kiedy indziej: „Wysiłek wszystkich elementów polskich, bez względu na różnice i podziały, musi się skupić w tym jednym kierunku, aby akcja komunistyczna odbijała się o jednolity zwarty front polski”.

Po naszej secesji z Syndykatu jego władze ogłosiły komunikat, w którym zapowiedziano, że „w stosunku do kolegów działających na szkodę zawodu dziennikarskiego [zarząd] wysnuje odpowiednie konsekwencje statutowe”. Była to zapowiedź o tyle już bezprzedmiotowa, że z własnej woli przestaliśmy być członkami lwowskiego Syndykatu. W kilka dni potem zjawił się we Lwowie przedstawiciel wydziału wykonawczego ogólnopolskiego Związku Dziennikarzy R.P. red. Medard Kozłowski, były poseł, aktualnie publicysta „Gońca Warszawskiego”, i odbył ze mną konferencję, podczas której w imieniu nowo tworzonego Zrzeszenia oświadczyłem, że uznajemy nadal uprawnienia centralnych władz Związku Dziennikarzy R.P. jako jedyne przedstawicielstwa dziennikarskiego w Polsce. Kozłowski uznał to za wystarczającą gwarancję zapewniającą zasady ogólnopolskiej jedności zawodowej organizacji dziennikarzy, co ograniczyło konflikt we Lwowie do lokalnego incydentu.

W dniu 7 stycznia 1937 r. odbyliśmy walne zebranie Zrzeszenia. Obrady otworzył tym razem Z. Stahl, przewodniczył A. Medyński, se-

kretarzował Leon Daniluk. Prezesem Zrzeszenia wybrany został Z. Stahl, wiceprezesem redaktor Agencji Wschodniej Stanisław Zachariasiewicz, do zarządu wybrano: L. Daniluka („Agencja Wschodnia”), S. Starzewskiego („Dziennik Polski”), Helenę Wolską, Zygmunta Halbera („Goniec Wieczorny”) i Klaudiusza Hrabyka („Dziennik Polski”). W skład komisji rewizyjnej weszli: Marian Bartoń, Tadeusz B. Ulanowski, Józef Weliszczuk, do sądu koleżeńkiego: Stefan Mazurkiewicz, Aleksander Medyński, Maria Orzechowska, Mieczysław Piszczkowski, Stanisław Zbierchowski.

W dwa miesiące później odbył się z kolei zjazd prasy Ziemi Południowo-Wschodnich zwołany przez władze Zrzeszenia do sali Kasyna Literacko-Artystycznego. Zjawili się na tym zjeździe przedstawiciele 20 pism lwowskich i prowincjonalnych. Przewodniczył były senator Orliński z Tarnopola, referaty wygłosili Stahl, Starzewski, Zachariasiewicz i Hrabyk (sytuacja na ziemiach południowo-wschodnich). Zjazd był dużym sukcesem Zrzeszenia i umocnił jego pozycję tym bardziej, że naczelne władze ogólnopolskiego Związku Dziennikarzy R.P. nie zakwestionowały prawomocności nowej organizacji, upewniając się ponownie, że uznaje ona nadrzędność centrali organizacji zawodowej. Udział we władzach Zrzeszenia Zygmunta Halbera i przewodnictwo na lwowskim zjeździe prasy byłego senatora Orlińskiego niwelował całkowicie próby podejrzeń i zarzutów, że inicjatywa nasza ma charakter antyżydowski. Próbował krytyki na tym tle endecki „Warszawski Dziennik Narodowy”, ale odparliśmy łatwo tę próbę przypominając, że członkowie partyjnego organu endeckiego we Lwowie pozostają w Syndykacie lwowskim, chociaż dziennikarze pochodzenia żydowskiego stanowią w nim niemal większość, a sekretarz redakcji „Słowa Narodowego” Pańczak zasiada mimo to w zarządzie Syndykatu, co najlepiej ilustruje iluzoryczność demagogii rozwijanej przez to pismo.

Na tak urozmaiconym tle wynikł mój proces sądowy z oskarżenia Janusza Laskownickiego. Odbył się on w maju 1937 r. w związku z notatką „Dziennika Polskiego” o „aresztowaniach i rewizjach we Lwowie wśród działaczy prokomunistycznych”. W notatce tej było napisane, że aresztowano m.in. socjalistę adw. Hersztala pod zarzutem akcji prokomunistycznej i że dzienniki „Prasy Nowej”, czyli wydawnictwa „Wieków Nowego”, przemilczają ten fakt, ponieważ Hersztal jest stałym doradcą prawnym tego wydawnictwa.

Janusz Laskownicki zmobilizował silną obronę. W jego imieniu wystąpiło aż trzech adwokatów: Jan Pieracki, aktualny prezes Stronnictwa Narodowego we Lwowie, oraz Żywicki i Macieliński, również związani z tą partią. Dowodziło to szczególnej wagi, jaką wydawnictwo „Wieków Nowego” przywiązywało do tej sprawy. Ja broniłem się sam, nie mając

żadnego zastępcy prawnego. Na wstępie rozprawy zeznałem, że nie pisałem notatki i nie czytałem jej przed wydrukowaniem, ponieważ byłem w tym dniu nieobecny we Lwowie, przebywając na innym procesie w Warszawie z oskarżenia Janusza Jędrzejewicza. Natomiast gotów jestem przeprowadzić dowód prawdy i w tym celu powołałem na świadków Stanisława Zalcmana i Menachema Ohrensteina, dwu stałych współredaktorów „Expressu Wieczornego” na dowód, że są zwolennikami Frontu Ludowego i że Zalcman jest współpracownikiem „Sygnałów”, następnie Leona Daniluka, byłego współredaktora „Wieków Nowego” na dowód, że współwłaścicielami „Prasy Nowej” są Edmund Goldberg-Gromski i Henryk Tennenbaum-Lewartowski, Bronisława Zduńczyka z „Gońca Wieczornego”, że Menachem Ohrenstein z „Expressu” jest wrogo nastawiony do państwa polskiego, czemu daje publiczny wyraz; Nikodema Kopilewicza, współredaktora „Wieków Nowego”, że brał czynny udział w lwowskim zjeździe intelektualistów, Zygmunta Halbera, wydawcę „Gońca Wieczornego”, że „Prasa Nowa” lokuje kapitały w zagranicznych, obcych bankach, adwokata Samuela Hęrsztala, że jest stałym doradcą prawnym „Prasy Nowej”, Benedykta Pazurkiewicza, urzędowego biegłego w sprawach komunistycznych na okoliczność, że „Prasa Nowa” popiera inspiracje komunistów, ks. Zygmunta Kaczyńskiego, redaktora Katolickiej Agencji Prasowej na okoliczność, że działalność „Expressu Wieczornego” wpływa ujemnie na obyczajność publiczną, i starostę grodzkiego we Lwowie Romualda Klimowa na okoliczność, że działalność „Expressu” ujemnie wpływa na porządek i bezpieczeństwo publiczne we Lwowie. Sąd nie dopuścił żadnego z moich wniosków i skazał mnie na 100 zł grzywny i 10 zł kosztów rozprawy.

Nie uznałem tego wyroku za obiektywny i wniosłem od niego apelację. Nie pamiętam już dokładnie, jaki był przebieg dalszych rozpraw, ponieważ przebywałem przez najbliższe dwa lata w Warszawie, dość jednak, że kolejna rozprawa apelacyjna wyznaczona została na dzień 4 września 1939 r. Wybuch wojny przeszkodził odbyciu rozprawy, na której miały się bodaj rozstrzygnąć losy tego długiego sporu. Nie zostały one ostatecznie nigdy rozstrzygnięte.

„Wiek Nowy”, „Express Wieczorny” i wydawnictwo „Prasa Nowa” oraz „Dziennik Polski”, pogrzebane huraganem wydarzeń, przestały istnieć we wrześniu 1939 r., większość *personarum dramatis* — pognana wichurami wojny — znalazła się wtedy na zawsze poza Lwowem, rzucona w różne zakątki Polski i świata. Na tle gigantycznego przewrotu zmieniającego gruntownie oblicze Lwowa i likwidującego ówczesnych jego bohaterów z dawnych lat przedwojennych wykazały absurdalność i nonsens ich wzajemnych sporów i zatargów. Jedynym śladem tych czasów pozostała świadomość, że nad okresem pomiędzy lwowskimi bu-

rzami w szklance wody a zbliżającymi się wydarzeniami i zmianami, jakie wkrótce nastąpiły, zaciążyła tragiczna dysproporcja charakteryzująca najwymowniej brak wyobraźni w naszym ówczesnym świecie polskim i lwowskim, paraliżujący wszelkie rozeznanie, umiar i rozsądek [...]

Warto zanotować także dwa inne incydenty z tego okresu. Z początkiem 1937 r. odbyło się zebranie Rady Naczelnej Straży Przedniej, na którym postanowiono rozwiązać tę organizację z powodu — jak napisaliśmy w „Dzienniku” — jej demoralizującego wpływu na młodzież szkolną. Straż Przednia była organizacją młodzieży szkolnej założoną przez sanację; jej głównym inspiratorem był Janusz Jędrzejewicz. Twórca znanej reformy szkolnictwa przedwojennego w Polsce, po maju 1926 r. powziął ambitną próbę utworzenia ideowej organizacji wśród młodzieży szkolnej, aby tą drogą przeciwstawić się wpływom endecji w młodym pokoleniu i utworzyć wśród niego własne szeregi oddane „ideologii państwowej” kształtowanej przez obóz piłsudczyków. Inicjatywa podjęcia tej pracy wśród najmłodszych roczników miała na celu wychowanie kadry zdolnej do udziału w życiu ideowo-politycznym młodzieży uniwersyteckiej, wśród której dotychczasowe doświadczenia z Legionem Młodych nie przyniosły spodziewanych rezultatów, przysparzając obozowi rządowemu więcej trosk aniżeli pożytku.

Rozwiązanie tego problemu nie okazało się jednak ani łatwe, ani proste. Atrakcyjność haseł, jakimi posługiwała się młodzież narodowa, a szczególnie oenerowska różnych odcieni, mobilizując nastroje młodzieży na platformie opozycji i buntu, a nie lojalnej współpracy z rządem, wywoływała nieporównanie większe echa wśród młodych aniżeli akcja Straży Przedniej czy Legionu Młodych korzystających z wielu przywilejów i oficjalnej protekcji udzielanej tym organizacjom. W konsekwencji w obu organizacjach prorządowych skupiał się żywioł, jeśli nie oportunistyczny, to w każdym razie nie bojowy, unikający trudności i aktywnego udziału w czynnej walce, poddający się chętnie dyrektywom odgórnym i dyspozycjom swoich możnych protektorów. Na tle panującego wtedy w Polsce napięcia ideologicznego i politycznego, następstwa takiej biernej postawy były na pewno wśród młodszych demoralizujące w dziedzinie kształtowania charakteru i moralnego kręgosłupa. Rozwiązanie organizacji stało się ostatecznym, bezspornym dowodem całkowitego fiaska tej inicjatywy.

Mimo to Janusz Jędrzejewicz jako prezes Rady Naczelnej Straży Przedniej poczuł się urażony naszym komentarzem i wniósł przeciwko mnie skargę sądową. Jako redaktor naczelny byłem bowiem równocześnie redaktorem odpowiedzialnym „Dziennika Polskiego”. W ten sposób podkreślałem poczucie mojej odpowiedzialności za redagowanie pisma, odrzucając zwyczaj, niewątpliwie niemoralny z punktu widzenia etyki

dziennikarskiej, a polegający na tym, że redaktor naczelny ukrywał się bezkarnie za plecami redaktora odpowiedzialnego, którym z reguły był człowiek nie mający ani żadnego wpływu na pismo, ani nie ponoszący faktycznej odpowiedzialności za jego treść, pomimo że prawnie mógł być do niej pociągany i skazywany wyrokami sądowymi. Zdecydowaliśmy przynajmniej na terenie własnego dziennika położyć kres tej powszechnej a nienormalnej praktyce, odstępując od zwyczaju stosowanego chyba w całej prasie polskiej okresu przedwojennego.

Proces z Januszem Jędrzejewiczem zapowiadał się jako jedna z większych sensacji, ponieważ byliśmy organem popierającym na ogół politykę rządu, a Janusz Jędrzejewicz należał do czołowych postaci obozu rządowego. Pierwsza rozprawa sądowa wyznaczona została na kwiecień 1937 r. w sądzie okręgowym w Warszawie. Rozprawę o zniesławienie prowadził sędzia Rybicki. Zapowiedziałem przeprowadzenie dowodu prawdy, Jędrzejewicz na jedynego świadka powołał Walerego Sławka. Na pierwszej rozprawie odczytano artykuł „Kuźni Młodych”, organu rozwiązanej Straży Przedniej. Sędzia po zaznajomieniu się z przedstawionymi wnioskami obu stron zdecydował przezornie, że sprawa ma zupełnie szczególną wagę, nie może więc być rozstrzygana przez sędziego jednostkowego i wymaga trybunału złożonego z trzech sędziów. Dalej ciąg sprawy został odłożony z wnioskiem sędziego o przekazanie jej „wzmocnionemu” trybunałowi. Proces zapowiadał się więc tym bardziej ciekawie, ale obóz rządowy postanowił przerwać publiczną dyskusję na tak kontrowersyjny temat, jak Straż Przednia, w której jedną stroną był redaktor pisma uchodzącego za organ rządowy, a drugą — jeden z najwybitniejszych rzeczników obozu rządowego. W wyniku zakulisowych interwencji i nacisków zgodziliśmy się jednak w październiku tego roku wycofać z procesu; złożyliśmy na łamach pisma oświadczenie stwierdzające, że redakcja padła ofiarą mistyfikacji i wyraża swoje ubolewanie z tego powodu. Janusz Jędrzejewicz z kolei wycofał skargę i sprawa została umorzona. Osobiście byłbym się na to nigdy nie zgodził; należałem w takich wypadkach do ludzi gotowych do starcia. Ale musiałem poddać się kolegalnej decyzji moich przyjaciół redakcyjnych, unikających otwartych konfliktów z kołami rządowymi.

Drugi incydent dotyczył endecji. Franciszek Szpineter, dyrektor zarządu spółki nie istniejącego już w tym czasie „Kurierem Lwowskiego”, latem 1936 r. na polecenie prokuratora został aresztowany (wraz z innymi współnikami) pod ciężkim zarzutem sprzeniewierzenia stu tysięcy złotych w Centralnej Kasie Rękodzielniczej, której był dyrektorem. Sprawa stała się nie tylko głośna, ale miała zupełnie wyjątkowy posmak szczególnie dla nas, jako grupy, która dwa lata temu wystąpiła z endecji, a potem kierowała „Kurierem Lwowskim” znajdującym się — jak

wiadomo — pod zarządem przymusowym z powodu niezapłacenia ogromnych sum należnych z tytułu zaległości za opłaty, m. in. za świadczenia społeczne. Jedna i druga nasza decyzja stała się motywem gwałtownych ataków endecji przeciwko nam, chociaż w okresie wydawania przez nas „Dziennika Polskiego” nasilenie tej kampanii praktycznie ustało. Postanowiliśmy mimo to wykorzystać kompromitującą aferę byłego dyrektora spółki „Kurier Lwowski”, aby jeszcze raz wykazać demoralizację w szeregach endecji, szczególnie młodszym członkom partii. Argumenty nasze były wręcz nieodparte. Ogłosiłem artykuł, w którym pisałem, że w zespole kierowniczym organu partii wykryty został aferzysta, który przez wiele lat był czołowym mężem zaufania Stronnictwa Narodowego i cieszył się nieograniczonym poparciem odpowiedzialnych jego czynników, a szczególnie adw. Jana Pierackiego jako prezesa stronnictwa we Lwowie. Centralny organ endecji w Warszawie odpowiedział na to w sposób, który jeszcze bardziej dyskredytował zarówno całą partię, jak i jej lwowskie środowisko. „Warszawski Dziennik Narodowy” napisał mianowicie, że „Kurier Lwowski” nie był nigdy organem partii, a Szpiner nie był mężem jej zaufania. To gołosłowne twierdzenie, sprzeczne całkowicie z powszechnie znanymi faktami, spowodowało naszą replikę, która do reszty pognębiła sprawców tego niecodziennego skandalu. Rezultatem naszej kampanii była utrata przez Jana Pierackiego wpływów w partii, i to na rzecz żywiołów młodszych, które wkrótce założyły nowy organ endecki we Lwowie „Słowo Narodowe”, eliminując z niego wszystkich starszych działaczy związanych z „Kurierem Lwowskim” i odpowiedzialnych za popieranie Franciszka Szpinetera na stanowisku dyrektora spółki tego pisma. Sprawa była tak oczywista, że koła endeckie zrezygnowały z dochodzenia jej na drodze sądowej, do której w zatargach z nami, a szczególnie ze mną, chętnie odwoływały się w innych wypadkach.

Usiłowano natomiast przeciwstawić sprawę Szpinetera głośnej afery Wandy Parylewiczowej w Krakowie. Była ona żoną tamtejszego prezesa sądu okręgowego i mniej więcej w tym samym czasie dopuściła się różnego rodzaju przestępstw natury finansowej, została aresztowana i osądzona. Był to poważny skandal kompromitujący koła sanacyjne z tą jednak różnicą, że przeciw Parylewiczowej prokurator wystąpił z całą stanowczością i nikt ze sfer oficjalnych nie usiłował jej bronić ani negować jej pozycji jako żony prezesa sądu. W polemice z prasą endecką wydobyliśmy tę różnicę, wskazując na metodę wypierania się Szpinetera przez endecję, pomimo że jego udział w kierowniczym zespole kół endeckich był przecież niewątpliwy.

Ale były to tylko incydentalne nasze utarczki i starcia na arenie prasowej owego czasu. „Dziennik Polski” nie zaniedbywał kampanii

w żadnym kierunku i należał do najbardziej agresywnych pism w Polsce. Nie przeczę, że byłem głównym inspiratorem tej postawy, co odpowiadało mojemu usposobieniu i pasji publicystycznej i pozwalało mi na łamach pisma rozwijać wszechstronną inicjatywę. Ta atmosfera udzielała się moim współtowarzyszom, głównie Zdzisławowi Stahlowi, również nie kąpanemu w chłodnej wodzie. Dwa roczniki „Dziennika” z lat 1937 i 1938 pełne są naszych wystąpień wyróżniających się temperamentem, agresją i rozmachem.

Charakter naszych wypowiedzi był wielostronny, nie szczędziliśmy także obozu sanacyjnego, jeżeli — jak w przypadku Straży Pożarnej — zachodziła tego potrzeba. W jednym z pierwszych numerów „Dziennika” na początku roku 1937 pisałem m. in.: „Polska nie jest państwem totalnym. W państwie totalnym nie ma miejsca na wielopartyjność. Jedna partia rządowa utożsamia się z państwem. A wszakże w Polsce działają wszystkie partie polskie, co w ustroju państwa totalnego, nawet w tej formie, jak jest teraz, jest zupełnie nie do pomyślenia. Nie ma żadnego znaczenia fakt, że partie polityczne nie mogą prowadzić walki o władzę. Myśl polityczna nie musi być reprezentowana tylko przez partie”. Kiedy indziej pisałem również: „Walka jest pierwszym warunkiem zwycięstwa. I dlatego musimy ją kontynuować, choćby nam przyszło iść po kamienistej drodze”. W tym samym czasie Zdzisław Stahl tak sformułował naszą postawę: „W nowej sytuacji tworząca się nowa ideologia polska musi się trzymać mocno polskiego gruntu. Jej główną ambicją musi być formułowanie pożytecznych celów i twórczych dążeń, a głównym egzaminatorem — życie. Ideologia polska musi wypływać z bezpośredniego i własnym wysiłkiem dokonanego rozpoznania rzeczywistości. I w tym musi być realistyczna. Właściwą legitymacją żywej idei jest nie jej formuła, lecz dążenie i realizacja, którą umie się wykazać”. Temu rozumnemu w założeniu pogładowi mój ówczesny przyjaciel sprzeniewierzył się — niestety — w kilkanaście lat potem na emigracji, hołdując tam uparcie stanowisku opartemu na formułach, frazeologiach i pustych słowach, a co najmniej na „dążeniach”, których realizacji ani on, ani wyznawcy tych samych fikcji nie potrafili nigdy wykazać. Nie potrafiłbym zawyrokować, które z tych dwu stanowisk, ówczesne z lat 1934 do 1939, czy późniejsze z lat pomiędzy 1945 a 1946 i później wyrażało rzeczywiste poglądy Zdzisława Stahla, a które z nich było tylko pozorem pokrywającym inne, prawdziwe stanowisko mego przyjaciela. Obawiać się jednak wolno, że jedno i drugie wynikało z niedostatecznie ugruntowanych poglądów i było rezultatem bądź doktrynerstwa, bądź koniunkturalnych i niezależnych od autora okoliczności zewnętrznych, bądź po prostu owocem emocjonalnych i niekontrolowanych reakcji, tak

bardzo sprzecznych z warunkami odpowiadającymi zasadom politycznego myślenia, a tym bardziej działania.

Pismo stało się organem rozwijającym linię Związku Młodych Narodowców. „Gdybyśmy chcieli przytoczyć wszystkie artykuły i uwagi »Dziennika Polskiego« idącego po linii politycznej »Awangardy« — pisała w marcu 1936 r. poznańska „Awangarda”, centralny organ Młodych Narodowców — musielibyśmy przedrukować cały »Dziennik«”. Zabieraliśmy głos we wszystkich aktualnych sprawach dotyczących zagadnień ogólnopaństwowych, a nie tylko lwowskich. Przeprowadzałem więc zasadnicze polemiki z prasą ONR, m. in. z Wojciechem Zaleskim, redaktorem naczelnym ówczesnego „ABC” w Warszawie na temat „linii podziału” w społeczeństwie polskim tych lat, następnie ze Stanisławem Piaseckim, naczelnym redaktorem nowo założonego tygodnika „Prosto z mostu”, kiedy ogłosiłem artykuł pt. *Nacjonalista czy marksista* w związku ze stanowiskiem Piaseckiego w sprawie ukraińskiej. Kiedy indziej polemizowałem z tym samym publicystą oenrowskim w artykule pt. *Dywersja wiecznego tułacza* poświęconym sprawie OZON-u. Stawałem w szranki z „Buntem Młodych”, kiedy pismo to wypowiedziało się za zniszczeniem Rosji; przy innej okazji napisałem artykuł pt. *Koalicja tajemniczych interesów*, wymierzając go przeciw Frontowi Morges i wskazując na kontakty tak pozornie politycznie rozbieżnych ludzi, jak Mieczysław Niedziałkowski z „Robotnika”, Bolesław Koskowski z „Kurieria Warszawskiego”, gen. Władysław Sikorski i Wincenty Witos. Pisałem wtedy, że Front Ludowy jest w ówczesnej sytuacji zjawiskiem mniej w Polsce groźnym aniżeli Front Morges. Na tle kwietniowych zajęć lwowskich podjąłem polemikę z Zygmuntem Wasilewskim, redaktorem naczelnym „Myśli Narodowej”. Wystąpiłem przeciw konserwatywnemu „Czasowi”, kiedy wysunął on postulat w sprawie powrotu Witosy z Czechosłowacji. Polemizując z lwowskim „Wiekiem Nowym”, uchodzącym nie zawsze słusznie za organ wyróżniający tendencje demokratyczne, pisałem o „terrorze moralnym” tego pisma w związku z dyskusją na temat demokracji i silnego ustroju. Ogłosiłem artykuł o ekspansji politycznej i kulturalnej komunizmu, podejmowałem także polemiki z rządową „Gazetą Polską” i „Polską Zbrojną”, wypowiadałem się w sprawie „Płomyka”, który był częstym tematem artykułów prasowych jako pismo ulegające wpływowi kół komunistycznych, zabierałem głos w sprawie żydowskiej w duchu poglądów sformułowanych dwa lata przedtem na łamach „Akcji Narodowej”. Na marginesie bojkotu kawiarni lwowskiej „Romy” we Lwowie, zarządzanego i skutecznie przeprowadzonego przez publiczność żydowską stanowiącą wyłączną klientelę tego lokalu, wystąpiłem przeciw tego rodzaju dyskredytowaniu placówek handlowych, nie wiedząc jednak, że publiczność żydowska miała

rację, stosując bojkot „Romy”. Jak się okazało w 1939 r., była ona własnością zamaskowanego hitlerowca czy volksdeutscha lwowskiego. Ujawniło się to dopiero po wejściu do Lwowa wojsk hitlerowskich w 1941 roku.

Innym razem opublikowałem artykuł aprobujący stanowisko prof. Stanisława Kulczyńskiego, ówczesnego rektora uniwersytetu lwowskiego, który w związku z antyżydowskimi awanturami endeckimi podczas inauguracji roku szkolnego stanowczo i odważnie potępił doktrynerstwo sprawców zamieszek jako objaw zaniku aktywności intelektualnej i wiary we własne siły oraz jako sygnał słabości i początek klęski inspiratorów gwałtu.

Na łamach „Dziennika” ogłosiłem również szereg artykułów o problemach świata pracy, o wolności prasy i postulacie koncentrowania myśli i kultury polskiej. Znaczna część mojej publicystyki dotyczyła problemu ukraińskiego, którym, podobnie jak w okresach poprzednich, nadal się zajmowałem.

Zdzisław Stahl wdawał się również w ostre rozgrywki polemiczne. Na temat młodzieży ogłosił artykuł polemizujący z Catem-Mackiewiczem, który zresztą nigdy nie budził wśród nas ani zachwytów, ani aprobaty, podobnie zresztą, jak my z kolei nie cieszyliśmy się sympatiami redaktora „Słowa” wileńskiego. W jednym z artykułów wyraził się on obelżywie o naszej grupie, na co ostro zareagowaliśmy. W styczniu 1937 r. Stahl wdał się w gwałtowną polemikę z Tuwimem, ogłaszając artykuł na marginesie *Kariery Alfa Omegi*, na co Tuwim w prasie warszawskiej opublikował ciętą i złośliwą, bezlitośnie smagającą swego partnera replikę pt. *Zabawa z żurnalistą*, na co z kolei Stahl doprowadzony do wściekłości odpowiedział artykułem: *Z kim pan Tuwim przepił tantiemy za Kariere Alfa Omegi?* Inną polemikę podjął Stahl z Jędrzejem Giertychem i Doboszyńskim w artykule pt. *Żalony mit o wielkiej Polsce*. Pisał w nim: „Giertych w swoją skonfiskowaną książkę ferującą śmieszne wyroki potępienia za 300 lat historii polskiej nie kładł własnych myśli. Spisywał tylko ponury testament minionych waśni, nieplodnych zawiści oraz martwych idei ubiegłego stulecia. Był zwykłym narzędziem uczy-nionej próby, próby przekazania w spadku na rzecz przyszłości narodu tych przesłanek, które w przeszłości utrzymywały świadomość polską w tragicznym rozdarciu. Doboszyński działał pod wpływem mitu o wielkiej Polsce, zatrutego i wypaczonego nienawistną inicjacją partyjną”.

Po utworzeniu w lutym 1937 r. Obozu Zjednoczenia Narodowego Stahl na łamach „Dziennika” zajął się głównie propagowaniem koncepcji tej organizacji i jej interpretowaniem, zachowując w redakcji jakby monopol na tym odcinku. Nie kwapiłem się do tego tematu, mając od począt-

ku poważne wątpliwości co do przydatności zasad deklaracji płk. Adama Koca, szefa tej organizacji, a w ogóle do całego OZON-u [...]

Jako publicysta dziennika prorządowego dawałem oczywiście wyraz oficjalnemu poparciu akcji OZON-u, ale nie odzwierciedlało to mojej rzeczywistej oceny o tej bardzo połowicznej inicjatywie. Nie byliśmy nią zachwyceni również jako grupa, ale żywiłmy przekonanie, że z czasem uzyskamy na tyle poważny zasięg wpływów, że dojdzie w końcu do wyrównania mielizn i niedoskonałości. Opieraliśmy nasze nadzieje na współpracy z Bogusławem Miedzińskim i na zaufaniu, jaki wykazywał on w stosunku do nas. Czyniąc zadość protokołowi, wysłaliśmy do płk. Koca depezę zgłaszającą akces pisma do jego inicjatywy. Depeszę podpisaliśmy we czterech.

Mieczysław Piszczkowski parał się również publicystyką w naszym „Dzienniku”, chociaż szło mu to bardzo opornie.

Tymczasem biegly dalsze wypadki. We wrześniu 1936 r. przybył do Lwowa generalny inspektor sił zbrojnych Rydz-Śmigły obdarzony godnością marszałka dopiero w dwa miesiące później, 11 listopada 1936 r., a w lipcu tegoż roku okólnikiem premiera Składkowskiego wyznaczony jako druga osoba po prezydencie. To ostatnie zarządzenie, sprzeczne zresztą z konstytucją nie przewidującą tego rodzaju porządku hierarchicznego, i to ustalane przez premiera przy pomocy zwyczajnego okólnika, wywołało gwałtowne sprzeciwy wśród opozycji. Przyjazd Śmigłego do Lwowa nie został zapowiedziany ze względu na bezpieczeństwo; obawiano się terrorystów ukraińskich zapisanych już w dawnych latach zamachami dokonywanymi we Lwowie na Piłsudskiego i prezydenta Wojciechowskiego. Wizyta Śmigłego we Lwowie pozostawała w związku z zajęciami kwietniowymi i „zjazdem pracowników kultury” i miała na celu wykazanie, że społeczeństwo Lwowa, witając manifestacyjnie Śmigłego, tym samym odżegnuje się od tamtych wydarzeń i wyraża solidarność z rządem, a w każdym razie z nowym przyszłym marszałkiem jako przedstawicielem obowiązującego porządku.

W południe odbyła się defilada wojska i organizacji społecznych. Trybunę honorową ustawiano zwykle przed pomnikiem Mickiewicza, od kiedy jednak wykryto podobno możliwość manewru ewentualnych zamachowców w biegnącym tam kanale podziemnym, trybuny ustawiano w różnych innych miejscach. Tym razem po raz pierwszy trybuna stanęła u wylotu ul. Halickiej. Tłumy publiczności odsunięto na znaczną odległość i na trybunie zjawił się Śmigły. Wówczas naprzeciw, u wylotu ul. Batorego i placu Halickiego, zmobilizowane tam znaczne grupy endeckich bojówek zaczęły gwałtowną demonstrację, podczas której bezustannie wznoszono okrzyki na cześć Dmowskiego, przeciw Śmigłemu i sanacji. Wprowadziło to ogromny zamęt. Policja nie mogła wszczynać żadnej kontrakcji, ponieważ tumult odbywał się naprzeciw trybuny ze

Śmigłym i starcie z demonstrantami na jego oczach i podczas odbywającej się defilady mogłoby ją uniemożliwić, co doprowadziłoby z kolei do nieprzewidzianych skutków. Zdecydowano zatem nie reagować i nie przerywać uroczystości. Bojówki endeckie ograniczyły się tym razem do okrzyków i nie podejmowały gwałtowniejszej próby przerwania kordonów oddzielających je od trybuny. Ratowało to częściowo tę w najwyższym stopniu nieprzyjemną sytuację. Demonstracja była dowodem agresywności kół endeckich; ich poczynania we Lwowie ze względu na obecność Śmigłego miały szczególną wymowę w związku z działalnością ukraińskich terrorystów i nacjonalistów. Uroczystość została zdaje się nieznacznie skrócona i Śmigły opuścił trybunę prędzej niż to było przewidziane. Warto dodać, że nie dopuszczono dziennikarzy do trybuny i wyznaczono im odrębne miejsce, odległe od miejsc honorowych.

Wizyta Śmigłego we Lwowie była aktem nieudanym, wykazując zarazem, jak napięta i niepewna była sytuacja w tym mieście. Ogłosiliśmy nazajutrz notatkę pt. *Pokłosie niedołęstwa*, ale nie niedołęstwo stało się przyczyną całego incydentu. Lwów — jak dowodziło doświadczenie i fakty — stanowił coraz bardziej niespokojny wulkan, w którego wnętrzu działały przeciwstawne siły złożone z dwu zaślepionych nacjonalizmów: polskiego i ukraińskiego oraz z coraz bardziej aktywnego i najważniejszego, a nie docenianego czynnika, jakim była lwowska klasa robotnicza zdecydowana już wtedy na czynną akcję rewolucyjną. Potwierdziły to wypadki kwietniowe. Wpływ na nią wywarły hasła rzucone podczas obrad „zjazdu pracowników kultury”. Opanowanie tych nastrojów przy pomocy środków policyjnych i administracyjnych nie leżało w możliwościach najsprawniejszej nawet władzy rządowej. Nie można było po hamować pomruków nadciągającej burzy, która zbliżała się z nieuchronną konsekwencją. Opinia o Lwowie jako „mieście zawsze wiernym” zaczęła być co najmniej wątpliwa.

W czerwcu opinia publiczna została zaalarmowana „wyprawą na Myślenice” Adama Doboszyńskiego, którego nie znałem. Jego „wyprawa” stała się jeszcze jednym dowodem, że endecja znalazła się na równi pochyłej. Choć bowiem partia oficjalnie nie organizowała podobno wyczynu myślenickiego „rewolucjonisty” i był on dla jej czynników kierowniczych zaskoczeniem, ale istniały w niej liczne koła, które solidaryzowały się z tą inicjatywą i były gotowe ją kontynuować. Ich ośrodki znajdowały się także we Lwowie. Sprawa miała charakter i przebieg wybitnie awanturniczy, a Doboszyński poszedł po najłatwiejszej linii, rozbrajając samotny posterunek policyjny i udając się później z grupą ludzi w góry, gdzie został ujęty. W najlepszym wypadku mogła to być demonstracja nie mająca żadnego praktycznego znaczenia politycznego, obliczona jedynie na podniecenie wyobraźni i namiętności bardziej awan-

turnicznych elementów w partii, poza tym zresztą niezdolnych do zorganizowania rzeczywistej rewolucji na wielką, polityczną skalę. Incydent ten mieścił się w ramach ulubionej metody endeckiej, skłonnej do frazesów, za którymi nie kryła się nigdy rzeczywista zdolność do zrealizowania głoszonego hasła czy „wielkiego” planu. Tak też zakończyła się „wyprawa na Myślenice”, od której partia odżegnała się jak najbardziej stanowczo, przypisując całą inicjatywę niefortunnemu „rewolucjonście” z małego podkarpackiego miasteczka.

W kwietniu 1937 r. nastąpiły we Lwowie aresztowania, których ofiarą padli tym razem przedstawiciele lewicy: Jan Szczyrek i Samuel Herztał z PPS oraz Włodzimierz Jampolski. W tym samym miesiącu rząd rozwiązał wszystkie bez wyjątku organizacje młodzieży akademickiej na lwowskich uczelniach. Represje stosowane na lewo i prawo świadczyły, jak bardzo napięta była sytuacja w tym okresie. Przedtem, już w październiku 1936 r., zamknięto — jak wspomniałem — „Sygnały”.

W tym samym czasie w Warszawie odbył się proces apelacyjny przeciw skazanym o udział w mordzie dokonanej na ministrze Pierackim.

Na krańcach Europy w Hiszpanii rozgorzała tymczasem wojna domowa, która miała na długo skupić uwagę całego świata; szerokim echem odbiła się również w Polsce, mobilizując nastroje po obu stronach barykady.

W tym również okresie, w 1937 r., już pod moją nieobecność we Lwowie, jak gdyby mało było tam jeszcze zamieszania, zaczęto werбовать ochotników do dywersyjnej akcji na tzw. Rusi Przykarpackiej należącej do Czechosłowacji [...]

Ochotnicy ci — jak mi opowiadano — organizowani byli w małe grupy, które uzbrajano i zaopatrywano w różne materiały wybuchowe, po czym w cywilnych ubraniach przeprowadzano je przez granicę; po wysadzeniu w powietrze różnych obiektów i mostów, wracały one do Polski, korzystając z osłony lasów i gór. Grupom przewodzili oficerowie i podoficerowie z „dwójki” kierujący tą dywersją na obcym terenie i wspomagający w ten sposób węgierską akcją mającą na celu oderwanie tego obszaru od Czechosłowacji i utworzenie z niego niezależnego państwa. Efemeryda ta zresztą wkrótce powstała, a ks. Wołoszyn został „premierem” nowego „państwa”. Oczywiście udział w wyprawach był opłacany, i to stanowiło główną zachętę dla niektórych bezrobotnych młodych ludzi. Trudno było ustalić bliższe szczegóły tej ryzykownej dywersji, ponieważ jej uczestnicy byli związani przyrzeczeniem czy nawet przysięgą obowiązującą do zachowania całej sprawy w tajemnicy. Mimo to kilku z nich zwierzyło mi się z uczestnictwa w tej robocie. Wzbudziła ona we mnie najdalej idące zastrzeżenia i wątpliwości. Wkrótce jednak werbunek i akcja ustały i przestano o niej mówić.

Nawiasem mówiąc, podobnie ścisłą tajemnicą osłonięta była wcześniejsza tzw. pacyfikacja we Wschodniej Małopolsce. Była to — jak już wspomniałem — akcja prowadzona na wsiach przez wojsko w odwecie za zamachy terrorystów ukraińskich. Muszę tu stwierdzić, że bardzo niedokładne informacje o niej dotarły do nas dopiero po jej zakończeniu, natomiast w czasie jej trwania nie wiadano o niej nawet w kołach dziennikarskich.

W maju 1937 r. Ryszard Piestrzyński, który miesiąc przedtem objął stanowisko redaktora naczelnego „Kuriera Porannego” w Warszawie, po krótkotrwałej kadencji Ferdynanda Goetla całkowicie nie nadającego się do tej funkcji, ale mimo to do niej wyznaczonego, zwrócił się do mnie z nagłą propozycją współpracy na stanowisku jego zastępcy i redaktora politycznego w tym piśmie. Propozycja była niespodziewana, ale interesująca, tym bardziej że Zdzisław Stahl zapowiadał swoje rychłe przeniesienie także do Warszawy na stanowisko współredaktora „Gazety Polskiej”, centralnego organu rządowego. „Kurier Poranny” uchodził za organ półoficjalny, chociaż w niektórych sprawach był bardziej miarodajny aniżeli „Gazeta Polska”. Moje pożegnanie z „Dziennikiem Polskim” oznaczało jednak co najmniej osłabienie wartkiego rytmu, jaki nadawałem temu pismu. Dziennikarzem był wprawdzie także Stanisław Starzewski, ale brakowało mu wiele cech potrzebnych do samodzielnego i żywego redagowania dziennika. Piszczkowski jako redaktor nie wchodził w rachubę. Nigdy nim praktycznie nie był, a jego praca w dziennikarstwie była od początku znacznym nieporozumieniem. Zdecydowaliśmy jednak, że względu na ogólne znaczenie i perspektywy zarysowanych przesunięć, że obaj ze Stahlem przyjmujemy oferty warszawskie, a „Dziennik” z ugruntowaną już pozycją obejmie Starzewski. Mnie powierzono funkcje stałego korespondenta z Warszawy, co miało zabezpieczyć żywienie „Dziennika” serwisem politycznym, szczególnie w dziedzinie komentarzy.

Oferta Piestrzyńskiego wynikała z sytuacji, w jakiej znalazł się on na nowej placówce. „Kurier Poranny” tradycyjnie od lat uchodził za organ lewicujących kół sanacji i cieszył się poparciem żywiołów postępowych. Jego współpracownikami byli nie tylko Boy i Wincenty Rzymowski; zespół redakcyjny składał się również z dziennikarzy powiązanych z lewicą. Jedną z najbardziej oddanych przyjaciółek pisma była hrabina Maria Jehanne Wielopolska z Colonna Walewskich, autorka *Kryjaków, Kontryfałowych lichtarzy u św. Agnieszki i Nuwopowrów*, wywodząca się z Kijowszczyzny i arystokracji, ale pozostająca — jak mówiono — w osobistym zatargu z Panem Bogiem i rozwijająca dlatego na łamach „Kuriera” otwartą, zażartą kampanię przeciw papieżom, Kościółowi i klerowi. W zawierusze wrześnieowej Wielopolska zaginęła bez

śladu. Jeszcze za czasów Goetla pracował w redakcji Jan Czarnocki, również dziennikarz o powiązaniach lewicowych. Na czele administracji stała w tym czasie wdowa po zamordowanym w Truskawcu Hołówece, Janina, uważająca się również za rzeczniczkę lewicy pilsudczykowskiej, chociaż pozostająca w bliskich i przyjaznych stosunkach z innymi sferami sanacji.

W tej sytuacji Piestrzyński poczuł się w redakcji izolowany, tym bardziej że kilku jej współpracowników, wśród nich Czarnocki, po powołaniu nowego redaktora naczelnego ustąpiło z zespołu. Trudno było się dziwić stanowisku dotychczasowych współpracowników starego organu z ul. Marszałkowskiej, z których niektórzy pamiętali jeszcze pierwszego wydawcę i redaktora „Kuriera” Fryzego, skoro po Wojciechu Stpiczyńskim i Ferdynandzie Goetlu batutę w redakcji objął z kolei wprawdzie wytrawny i zdolny dziennikarz odznaczający się bardzo umiarkowanym, zrównoważonym usposobieniem (graniczącym z niedoborem temperamentu i brakiem decyzji), ale równocześnie niedawno jeszcze działacz Młodzieży Wszepolskiej, Obozu Wielkiej Polski, a w ogóle endecji i współpracownik endeckiego „Kuriera Poznańskiego”. Piestrzyński zdecydował się więc na uzupełnienie redakcji ludźmi związanymi z jego własną grupą polityczną, którzy dopomogliby mu w nawiązaniu kontaktu i współpracy z pozostałym zespołem redakcji. Początkowo projektował zaproszenie Jerzego Drobnika z Poznania, byłego berlińskiego korespondenta „Kuriera Poznańskiego”, ale kiedy napotkał z jego strony na trudności (Drobnik domagał się bowiem zbyt wygórowanych poborów), zwrócił się z kolei do mnie. Był to oczywiście dowód znacznego z jego strony zaufania, ponieważ mimo moich wzajemnie życzliwych stosunków z poznańską grupą Związku Młodych Narodowców, jako działacz lwowski, a nade wszystko redaktor naczelny „Dziennika Polskiego”, byłem co najmniej formalnie związany z grupą lwowską. Grupa poznańska nie darzyła Stahla w tym czasie zaufaniem, ze względu na jego wyraźne i obcesowe tendencje do uzyskania samodzielnego i osobistego wpływu w kierowniczych kołach OZON-u, przy niezbyt nawet maskowanej intencji pomijania grupy poznańskiej. Tymczasem była ona liczniejsza od lwowskiej, a przede wszystkim reprezentowała duży i poważny zespół zdolnych i wybitnych przyjaciół politycznych ambitnego autokraty lwowskiego uważającego siebie za wyrocznie i jedyne dysponenta naszego wspólnego odcłamu. W tym układzie można się było liczyć, że mógłbym w „Kurierze Porannym” odegrać rolę konia trojańskiego. W rzeczywistości jednak taka możliwość nie istniała i wiedział o tym przede wszystkim Zygmunt Wojciechowski.

Współpracowałem ze Stahlem i jego grupą we Lwowie dość zgodnie, ale raczej pod naciskiem przymusowej sytuacji, ponieważ nie było tam

innych partnerów. Nasze wzajemne animozje z poprzedniego okresu nie wygasły, a styl pracy Stahla nigdy mi nie odpowiadał. Nie godziłem się na jego elitarną koncepcję działania w hermetycznie zamkniętym zespole ludzi, nie podobały mi się jego metody pracy regulowane przede wszystkim czysto osobistymi planami, zamierzeniami i ambicjami mego apodyktycznego i pryncypialnego przyjaciela.

Z drugiej strony Stahl i jego lwowska grupa, pomimo niepewności i wątpliwości dotyczących dalszych losów redakcji „Dziennika”, przyjęli moje z niego odejście z ulgą, zadowoleni, że w ten sposób ustanie decydujący wpływ, jaki faktycznie wywierałem na redakcję i na jego całe środowisko. Uważali oni również, że wyjazd do Warszawy zamknie okres mojej wzrastającej popularności we Lwowie i zapobiegnie oddziaływaniu z mojej strony na środowisko lwowskie, które mogłem niepokoić swoją inicjatywą, ruchliwością i niezależnością, nie zawsze uzgadnianą z moimi przyjaciółmi. Byłem wprawdzie cennym dla nich współtowarzyszem, ale wygodniej i spokojniej było beze mnie, choćby dlatego, że pozostawali na miejscu sami jako już wyłączni dysponenti placówki i lokalnej sytuacji, mając mnie mimo to w zasięgu współpracy z piśmie, ale za pośrednictwem już tylko linii telefonicznej między Lwowem a Warszawą. Ten układ rzeczy czynił mnie — w ich słusznym przekonaniu — nieszkodliwym na gruncie lwowskim. Moja nieobecność we Lwowie wydawała się tym bardziej wskazana, że miał być nieobecny także Stahl, co mogło stworzyć ryzykowne ewentualności w razie pozostawienia mnie na stanowisku kierowniczym z dwoma tylko partnerami pozbawionymi raczej werwy i indywidualności.

W ten sposób po jedenastu latach zdecydowałem ponownie opuścić Lwów na stałe. Nie wiedziałem, że żegnam go prawie na zawsze, bo wróciłem tu jeszcze raz we wrześniu 1939 r. na kilkanaście dni jako ostatni już redaktor ostatniego lwowskiego pisma polskiego z okresu międzywojennego.

Rozstanie z miastem rodzinnym tym razem nie było łatwe. Związałem się z nim i z jego życiem licznymi węzłami, wszedłem w jego codzienne troski i radości, zapisałem tu niejedną kartę własnego życia, przeżywałem chwile sukcesów i niepowodzeń, miałem wielu oddanych przyjaciół i sporo przeciwników, znałem kulisy żywych nurtów tego niespokojnego środowiska, w których pozostawiałem własne ślady, poświęcając najlepsze lata mojej wiary i przekonań, choćby nie zawsze słusznym i dostatecznie uzasadnionym, ale zawsze szczerym i żywym [...].

Z redakcji „Dziennika Polskiego” ustąpiłem w maju 1937 r. Redakcja zawiadomiła o tej zmianie krótkim komunikatem: „Z dniem 31 maja 1937 r. kierownik redakcji Klaudiusz Hrabyk ustąpił z powodu przenie-

sienia do Warszawy, gdzie obejmuje stanowisko redaktora politycznego »Kurierza Porannego«. Kierownictwo redakcji objął Stanisław Starzewski". Nazajutrz ukazał się mój ostatni artykuł pt. *Walka elementem życia politycznego*.

W kilkanaście dni później jeden z „rybaltów”, Maciej Freudman, opublikował na łamach pisma felieton pt. *Pożegnanie Child Harolda*, w którym pisał m. in.:

„Wybaczenie, to nie nekrolog, to tylko na pożegnanie z naszym naczelnym redaktorem. Taki rachunek sumienia za mnie, za przyjaciół i za nasze uczucia. A ten czas przeszły »był« musi kluć dlatego, że on, ten kochany, mądry, gruby, naczelnny redaktor był — i już go nie ma. Gdzieś tam żyje, podobno w Warszawie, ale jakież to może być życie bez nas, bez naszej budy, bez Lwowa. Stypa, nie życie.

Bóg jeden wie, skąd ten człowiek wziął ten diabelski talent kaptowania sobie sentymentu i przyjaźni. Skąd nauczył się z ludźmi gadać. A umiał to wszystko, jak piękna kobieta. Czasem powiedział coś takiego, że każdego innego tylko za gardło, a wolną ręką, ewentualnie krzesłem po głowie tłuc. A jego nie. Zaczepny był i lubił kłótnie, czyli dyskusje. Nieraz, »bywało«, wiersz — któregoś z nas w swojej rodzonej gazecie przeczyta, zachichocze, włosy pomierzwi i pieszczotliwym kroczeniem sunie w moją stronę. Ja to bowiem jako stały ambasador młodej literatury w tej okolicy musiałem ponosić za wszystko odpowiedzialność.

Więc podchodzi i powiada:

— Ładny wiersz...

— Niczego...

Naczelnny uśmiecha się tkliwie:

— Ale pies go chyba zrozumie...

— Owszem — mówię — bydlę przeważnie bywa mądrzejsze od człowieka...

— Ale wy dla ludzi niestety piszecie. Takie wiersze natomiast na kursie dokształcającym dla wariatów dają jako prywatną lekturę.

W tym miejscu każdy szanujący się młody pisarz w stosunku do każdego szanownego dyskutanta zareagowałby systemem czynnym. A tu nie. Sadzało się naczelnego za biurkiem, samemu włożyło się półgębkiem na kant tegoż biurka i klarowało się długo i cierpliwie mądrość naszej poezji. Słuchał, słuchał i słuchał, a potem wyciągał papierosnicę i z cyniczną nieśmiałością proponował:

— A może lepiej papierosa?

Taki był w stosunku do poezji. Toteż ta ostatnia odpłacała mu się pięknym za nadobne. Pisywało się na niego i o nim wierszyki, kuplety, aforyzmy. Bardzo je lubił, dopraszał się nieraz o dowcipy na swój temat [...]

[...] Bano się go na zewnątrz, bali się przeciwnicy polityczni i ideowi, jego publicystyki, bezpośredniości i przede wszystkim temperamentu dziennikarskiego. Wiedzieli, że ten człowiek lubi »ruch«, lubi, kiedy wszystko w mieście aż »chodzi« z emocji, kiedy nawet ściany domów i bruki ulic podniecają się jakąś na wielki dzwon prowadzoną prasową polemiką. Zaglądał wszędzie, szperał, gdzie mógł. Długim dziobem (a miał taki!) jak bocian wyląwiał z bagienek rozmaite żaby, ślimaki i tym podobne węże. Zjadał je ze wszystkim. I ciągle miał apetyt. Czyż mogło to nie ujmować, czyż mogło to nie zdobywać wszystkiego, co młode, co czupurne, co z gorącą krwią w żyłach? I tak było. Wiesz o tym, kochany doktorze, za warszawskim biurkiem siedzący i jak sam nam piszesz, za starą swoją budą tęskniący, wiedziałeś chyba o tym zawsze, a najbardziej chyba już wtedy, kiedyśmy Cię żegnali w ten ostatni nasz z Tobą »lwowski wieczór«.

[...] A teraz rumienisz się, panie doktorze, co Ci przypomnę, jak to w zapale żegnania się ucałowała Cię jedna z naszych ślicznych »korektorek«. Siarczyście w oba policzki. Smakowało — co? Widzisz, w tym pocałunku było wszystko, co jest Lwowa najistotniejszą treścią: impuls, młodość, najpiękniejsze w Polsce kobiety i sentyment” [...]

* *
*
*
*

Okres redakcji Ryszarda Piestrzyńskiego po latach Feliksa Fryzego, założyciela i długoletniego wydawcy i naczelnego redaktora dziennika z ulicy Marszałkowskiej, był w „Kurierze Porannym” ostatnim etapem tego starego i popularnego pisma stołecznego. Dzieje „Kuriera Porannego” były barwne, burzliwe i różnorodne, oczekując obecnie na swego dziejopisa.

W latach 1937—1939 „Kurier Poranny” uchodził za nieoficjalny organ rządu, a w szczególności Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Przede wszystkim jednak wyrażał poglądy kół związanych ze Śmigłym, a pośrednio z OZON-em, ale nie ze wszystkimi jego czynnikami. Grupą, z którą współpracowaliśmy, byli tzw. pułkownicy, których rzecznikiem stał się Bogusław Miedziński. Nie byliśmy entuzjastami ani Mościckiego, ani Sławka, ani tym bardziej Kwiatkowskiego.

Zanim jednak objęliśmy redakcję „Kuriera Porannego”, zaangażowany w wydawnictwie „Bluszcz”, pisma dla kobiet redagowanego przez Podhorską-Okołów, Feliks Ludwik Fryze wpadł w trudności finansowe, które doprowadziły do przejęcia dziennika przez Wojciecha Stpiczyńskiego, byłego redaktora „Głosu Prawdy”, dynamicznego publicystę piłsudczyzny uchodzącego za rzecznika jej radykalniejszego skrzydła. W rze-

czywistości Stpiczyński był radykałem wątpliwej maści, stał się natomiast jednym z najbardziej zaufanych ludzi Śmigłego. „Był to człowiek dziwny, godny najgłębszych studiów psychologicznych” — napisał o nim Franciszek Galiński w swoim zarysie historycznym ogłoszonym w styczniu 1939 r. w zbiorowym albumie jubileuszowym „Kuriera Porannego”. Dziennik ten za redakcji Stpiczyńskiego, będąc organem popieranym przez koła umiarkowane lewicującej piłsudczyzny, a tradycyjnie przez zasymilowanych Żydów i koła postępowej inteligencji, uchodził równocześnie za pismo najbardziej zbliżone do następcy Piłsudskiego w armii, a potem głównego protektora i inicjatora Obozu Zjednoczenia Narodowego, bardzo gwałtownie zwalczanego przez entuzjastów Stpiczyńskiego i jego „Kuriera Porannego”. Stpiczyński należał do ścisłego grona przyjaciół Rydza-Śmiałego i łączyły go z nim i z jego domem stosunki nawet towarzyskie. Redaktor „Kuriera Porannego” — jak to stwierdzano w wielu kołach związanych z tym pismem — wykorzystując tę koneksję rozporządzał znacznymi i bezustannymi subwencjami i dotacjami uzyskiwanymi ze źródeł rządowych. W ten sposób pokrywano przede wszystkim deficyt pisma, ale zaspokajało to także ogromne potrzeby Stpiczyńskiego, który podejmował w „Kurierze” bardzo wysokie na owe czasy pensje, zaliczki i inne dodatki, uchodząc zresztą za najbardziej ideowego i bezinteresownego przedstawiciela nowych prądów w piłsudczyźnie. R. Piestrzyński i pracownicy administracji „Kuriera” opowiadali mi później, że Stpiczyński inkasował w „Kurierze” około 15 tysięcy złotych miesięcznie, co odpowiadało poborom dyrektorów największych koncernów przemysłowych w Polsce.

Stpiczyński był ciężko chory na gruźlicę, na którą w końcu umarł w 1936 r., towarzysząc Śmigłemu w Paryżu. Tym się zapewne tłumaczyła jego popędliwość, ujawniająca się zarówno w publicystyce, jak i w usposobieniu. Zdarzało się nieraz w redakcji za jego rządów, że Stpiczyński, podniecony w czasie dyskusji, za wychodzącym z jego gabinetu rozmówcą rzucał kałamarzem wypełnionym atramentem. W ten sposób zaatakował pewnego razu Janinę Hołówkową. Tego rodzaju argumentów niepoahamowany, pobudliwy i zapalczywy redaktor używał również i w innych wypadkach. Nie znałem osobiście Stpiczyńskiego i przed wejściem do „Kuriera” żywiłem dla jego postawy nawet podziw i uznanie. Kiedy jednak dowiedziałem się o nie znanych mi przedtem szczegółach charakteryzujących sylwetkę tego zresztą na pewno uzdolnionego i ideowego publicysty, moje zapęły w jego ocenie znacznie osłabły. Zastanawiałem się natomiast, jak to się stało, że wysoko ustosunkowany rzecznik grupy nie mającej wiele wspólnego z lewicą ani piłsudczyzną, ani innych skrzydeł lewicowych, posiadał zaufanie kół lewicowych, demokratycznych i postępowych, a także sfer żydowskich, a równocześnie

uchodził za człowieka bezinteresownego w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Wytłumaczenie tego zjawiska znajdowałem w pomieszaniu pojęć panującym w tym okresie, a wynikającym z różnych motywów; nie małą rolę odgrywał w tym także oportunizm, który niektórym ludziom owych lat pod szyldem pozorów lewicowego, demokratycznego czy postępowego pozwalał godzić się na współdziałanie ze środowiskami nie mającymi nic wspólnego z autentyczną lewicowością, demokracją czy postępem. Być może jednak, że zwolennicy takiej metody hołdowali naprawdę ograniczonym, czysto werbalnym poglądom lewicowym, demokratycznym czy postępowym i wystarczała im mechanicznie pojmowana tradycja „Kuriera Porannego”, aby korzystać z jego puklerza i uznawać Stpiczyńskiego za miarodajnego rzecznika tendencji postępowo-demokratycznych.

Refleksje te nasuwały się szczególnie na tle reakcji niektórych kół po objęciu redakcji przez Piestrzyńskiego i po moim wejściu do tego pisma jako redaktora politycznego. Nie byliśmy obaj rzecznikami ani lewicy, ani demokracji i nie ukrywaliśmy nigdy, że należymy do skrzydła wręcz odmiennego. W tym czasie staliśmy jednak na stanowisku reprezentowanym przez Śmigłego i jego grupę, to znaczy na gruncie dosłownie tej samej konstelacji, na której bazował przed nami Stpiczyński, tylko że u niego odbywało się to w znacznie wyższym stopniu, ponieważ należał do najbardziej zaufanych Śmigłego, a myśmy go niemal nie znali. Piestrzyński znał go niezbyt dobrze, ja Śmigłemu nie byłem nawet przedstawiony. Nic się zatem w dziedzinie politycznej nie zmieniło w powiązaniach „Kuriera Porannego”. Jediną istotną zmianą było tylko to, że nie czerpaliśmy ani z „Kuriera Porannego”, ani z innych bliskich mu źródeł szczególnych korzyści materialnych, nie przekraczając w tej dziedzinie normalnych granic ogólnie obowiązujących poborów redaktorskich. Uważaliśmy to za naturalną naszą powinność, obowiązującą każdego człowieka zajmującego bardziej odpowiedzialne stanowisko i nawołującego innych do ideowego stosunku wobec problemów natury publicznej.

Mimo to wokół naszej obecności w redakcji powstał niemały rwetes. Nowe kierownictwo redakcji uznano w pewnych kołach za radykalną zmianę kierunku pisma, a nas obrzucono różnymi inwektywami. Na tym tle grupka członków redakcji ustąpiła nawet z zespołu, ale wolno stwierdzić, że znalazło się w niej zaledwie kilku współpracowników, natomiast zdecydowana większość pozostała i współpracowała z nami. Ustąpił — jeszcze przed nami, a za krótkiej redakcji W. Goetla — W. Rzymowski, który był zastępcą redaktora naczelnego za redakcji Stpiczyńskiego; ustąpił również Jan Czarnocki, sekretarz redakcji, następnie Józef Brodzki i Mira Parzyńska, a w jakiś czas później J. Makulski. To byli wszyscy,

którzy nie aprobowali zaszytych zmian personalnych w kierownictwie redakcji „Kuriera Porannego”.

Przez cały czas od wiosny 1937 r. do września 1939 r. zespół redakcji w całości — oprócz wymienionej grupy kilku osób — utrzymał się w tym samym składzie, w jakim istniał za czasów Stpiczyńskiego.

Redakcja składała się zatem — oprócz Ryszarda Piestrzyńskiego jako redaktora naczelnego i mnie jako jego zastępcy i redaktora politycznego — z sekretarza redakcji Jerzego Wiewiórskiego, w tym czasie prezesa oddziału warszawskiego Syndykatu Dziennikarzy RP, Jerzego Hulewicz jako kierownika działu kulturalnego, którego później zastąpił Jerzy Waldorff. W skład redakcji wchodził początkowo Aleksander Makulski jako kierownik działu prowincjonalnego, który jednak ustąpił, a na jego miejsce wszedł powiązany dawniej z ruchem ludowym Władysław Dunin-Wąsowicz, w tym czasie bodaj główny opiekun garstki żyjących jeszcze wtedy, bardzo sędziwych, ostatnich powstańców z 1863 r. Staruszkowie, przybrani w specjalnie dla nich skrojone mundury koloru granatowego z oficerskimi odznakami na epoletach, występowali podczas różnych uroczystości patriotycznych i państwowych, przeważnie w grupie, a zadaniem Wąsowicza było ich przewożenie i pilnowanie w drodze. Jak mi opowiadał sam Wąsowicz, wynikały z tego różnego rodzaju kłopoty na tle bądź chronicznych chorób i niedomogów starszych panów, bądź także ich dziwactw. Wąsowicz powierzoną sobie misję wykonywał jednak z dużą ofiarnością, a od czasu do czasu towarzyszył swoim powstańcom na cmentarz, kiedy jednego po drugim chowano na wieczny odpoczynek. Z Wąsowiczem łączyły mnie szczególne więzy, ponieważ jeszcze jako nauczyciel w bardzo dawnych latach pamiętał mnie jako kilkuletnie dziecko ze Lwowa, gdzie był sąsiadem moich rodziców.

W skład redakcji wchodził też Zdzisław Sachnowski, kierownik działu miejskiego, pozostający z tego tytułu w bliskiej współpracy z prezydentem miasta Stefanem Starzyńskim. Ojciec Sachnowskiego, Zygmunt, był tzw. dziennikarzem belwederskim, tj. posiadał wstęp do Belwederu, kiedy mieszkał tam Piłsudski. Było to w tych czasach wyróżnienie wyjątkowe i syn w dużej mierze korzystał w naszej redakcji z dawnego kapitału swego nie żyjącego już ojca. Do redakcji tych lat należała młoda i nieśmiała praktykantka po szkole dziennikarskiej, córka warszawskiego pastora Halina Paszkówna, która niebawem znalazła się na ślubnym kobiercu z Sachnowskim. Byliśmy wszyscy na ich ślubie w pobliskim zborze ewangelickim. Kierownikiem działu gospodarczego był Jerzy Wendel-Hirschfeld, uroczy, znakomity kompan i zdolny publicysta, kpiarz i sceptyk, główny bodaj spośród naszego grona klient restauracji Wróbla. Wendel mawiał cynicznie, że jego system pracy polega na tym, iż po napisaniu cyklu artykułów gospodarczych w pierwszym roku współ-

pracy w „Kurierze”, w następnych latach zmienia w pojedynczych artykułach tylko wstęp i zakończenie. W ten sposób nasz redaktor gospodarczy wyrażał złośliwie swój krytyczny stosunek do ekonomicznej sytuacji kraju i polityki rządu, którą oceniał jako stan chronicznego zastoju, pozbawionego jakiegokolwiek perspektywy i elementów zdolnych do uzdrowienia gospodarki polskiej. Były sekretarz Wojciecha Stpiczyńskiego, Jan Lachowicz, podkreślający swoje pochodzenie tatarskie, był reporterem miejskim. Należał do licznej grupy najmłodszych członków redakcji. Współpracował z nami zmarły wkrótce latem 1937 r. Leon Okręt, niezastąpiony sprawozdawca sądowy, żegnany gorąco piórem Wielopolskiej. Bruno Winawer prowadził felieton popularnonaukowy, Piotr Słonimski, brat Antoniego, zajmował się działem lekarskim. Kuzynka Curie-Skłodowskiej Hanna Schillerowa, która w 1938 r. popełniła samobójstwo, należała także do naszego zespołu. Stefan Krukowski, brat „Lopka”, był sekretarzem technicznym redakcji i łamał numer. Pracowałem z nim przez cały czas w jednym pokoju redakcyjnym, i to bardzo nas do siebie zbliżyło. W czasie wojny przez długi czas ułatwiałem jemu i jego rodzinie przeżycie tych straszliwych czasów, dla Stefana Krukowskiego, jego żony Zofii i małej córki, zakończonych tragicznie. Bywaliśmy wtedy u siebie w domach; Stefan w czasie wojny zamieszkał w Opaczu, co go w dużym stopniu zgubiło. Ale ta karta należy do czasów późniejszych. W latach „Kuriera” współpracowaliśmy zgodnie i przyjaźnie. Stefan pracował przeważnie w nocy i prowadził długie telefoniczne rozmowy ze swoją żoną, którą trapiły bezustanne podejrzenia o niedostateczną wierność małżonka. Do tych podejrzeń Stefan nie dawał jej zresztą najmniejszych podstaw. Blanka Drżewska, późniejsza Monasterska-Grodzicka, oraz Hanka Moszyńska, późniejsza Hoffmanowa, były sekretarkami redakcyjnymi pomocnymi Wiewiórskiemu w sprawach natury technicznej, ale obie startowały na niwie reporterskiej: Blanka już wtedy w dziedzinie spraw społecznych, Hanka raczej kulturalnych. Boy-Żeleński za moich czasów aż do września 1939 r. pisał nadal recenzje teatralne, z reguły tego samego wieczoru, w którym odbywała się premiera. Wówczas nasz znakomity kolega przychodząc do redakcji robił korektę swojej recenzji w redakcyjnym hallu wejściowym przy wielkim, okrągłym stole. Pozostawał bezporną główną gwiazdą i chlubą na firmamencie naszego zespołu. Współdziałali i pisali w „Kurierze”: Minheimer (dział turystyczny), Zdzisław Harlender (dział lotniczy), Kazimierz Biernacki (dział architektury), płk Rudowicz (dział wojskowy), J. Maklakiewicz i Wanda Melcer-Sztekkerowa, matka znanego boksera (recenzje muzyczne), Józef Wieczorkiewicz (felietony). Do redakcji należała Hermina Bukowska, której matka była niemiecką arystokratką, i córka, pracując w dziennikarstwie polskim, nie zerwała więzów ze swoim niemieckim pochodze-

niem. Była u nas głównie tłumaczką tekstów z języków obcych, a po zajęciu Warszawy przez Niemców odświeżyła i ujawniła sentymenty niemieckie. Starszy znacznie od nas Konstanty Symonolewicz, były konsul w Charbinie, zajmował się problematyką Dalekiego Wschodu. Był typem jakby nie z naszej epoki, nieco zdziwaczałym, ale ujmującym bezpośredniością. Z młodszego narybku wyróżniali się młody poeta Henryk Domański, który w pierwszym okresie wojny zginął z rąk niemieckich, wybitnie zdolny reportażysta Lech Pietrzak zwerbowany z „prasy czerwonej”, Roman Zaleski (późniejszy Izbiński), który wyróżniał się m. in. jawnie głoszonymi, radykalnymi poglądami antyklerykalnymi, co w „Kurierze Porannym” absolutnie nikogo nie raziło, a ponadto uchodził wśród nas za komunistę, ciesząc się zresztą ogólną sympatią wśród kolegów z redakcji. Należał do tej młodszej paczki bardzo utalentowany felietonista Harald Ordjoels, w rzeczywistości Jan Kozik, syn chłopca z rejonu Warszawy snobujący się na Szweda. Ordjoels pisał krótkie felietony, aby potem ginąć nam z oczu na długie dni; znajdowano go w jakichś zamelinowanych knajpach, przeważnie na Pradze, w stanie absolutnej nieświadomości. Był jednak zdolnym i nieprzeciętnym pisarzem. Tadeusz Grabowski zajmował się działem sportowym, wyróżniając się między nami jako właściciel prywatnego auta. To wzbudzało podziw i zainteresowanie, ponieważ nikt poza nim w redakcji auta nie posiadał. Ale Grabowski wkrótce odszedł i jego miejsce zajął Edmund Grzybowski, który odmiennie niż Grabowski zyskał sobie szybko powszechną sympatię w zespole. Po raz ostatni spotkałem go podczas Powstania Warszawskiego w piwnicy przy Wspólnej, kiedy sypialiśmy tam na zwałach węgla i piliśmy wódkę dostarczaną przez Suszka. Władysław Suszek należał także do redakcji, ale opuścił ją w następstwie przykrego incydentu. W czasie okupacji trudnił się handlem jarzynami i był dzielnym, ofiarnym człowiekiem i kolegą. Pomagał wielu ludziom. Zapisał się w naszej pamięci jako niezawodny przyjaciel w najtrudniejszych godzinach.

Seweryn Lusztig pisał recenzje filmowe dyktowane wymogami natury raczej reklamowo-administracyjnej aniżeli rzetelnej krytyki filmowej. I on również wykazał ogromny hart życiowy w czasie okupacji. Będąc węgierskiego pochodzenia, lecz Żydem, nie tylko uchronił się przed zagładą, ale w dodatku zajmował w czasie okupacji eksponowane stanowisko w zarządzie miejskim Warszawy w dziele aprowizacyjnym. Spotkałem go w czasie Powstania Warszawskiego na Starym Mieście. Pod jego zarządem wydawano tam gorące zupy dla setek ludzi. Jako kolegę redakcyjnego Lusztig ratował od głodu także i mnie aż do ostatnich tragicznych dni Starego Miasta. W przeddzień opuszczenia Starego Miasta przez AK Lusztig przeniósł się do pobliskiego szpitala maltańskiego w charakterze sanitariusza i tak umknął śmierci. Zachowałem dla

Seweryna Lusztiga z czasów Powstania podziw i wdzięczność, ale i przedtem łączyły nas nici bezinteresownej sympatii. To Lusztig wynalazł dla mnie mieszkanie przy Smolnej, kiedy przybyłem ze Lwowa.

Współpracownikiem redakcji był przez jakiś czas Krzysztof Czyżewski, brat uroczej Heleny Białasiewiczowej, żony naszego kolegi redakcyjnego Józefa Białasiewicza, byłego współpracownika „Warszawskiego Dziennika Narodowego”, którego zwerbowałem zarówno do „Kuriera Porannego”, jak również do naszej grupy politycznej; w późniejszych latach losy nasze kilka razy się sprzęgały i współdziałaliśmy razem; nie tylko w czasie wojny, ale również poza granicami kraju. Drugim młodszym kolegą naszej grupy był w „Kurierze Porannym” Janusz Makowski, wspomniany tu już wychowanek Zygmunta Wojciechowskiego, redaktor poznańskiej „Awangardy” — naszego centralnego miesięcznika. Było nas zatem w „Kurierze Porannym” czterech związanych wspólną przeszłością i genealogią polityczno-ideologiczną. Białasiewicz i Makowski pisali artykuły polityczne, głównie na tematy międzynarodowe. Stałym korespondentem w Londynie był Augur — Stefan Litauer.

Z innych współpracowników wymienić wypada Mariana Szydłowskiego (dział prowincjonalnych korespondencji), który zginął tragicznie w pierwszych dniach wojny podczas dramatycznego marszu mężczyzn warszawskich na wschód, wezwanych do opuszczenia stolicy przez płk. Umiaśtowskiego. Chroniąc się przed nalotem w betonowej rurze przydrożnej Szydłowski trafiony został odpryskiem bomby. Józef Chołodziński był reporterem, Leopold Portner zajmował się zbieraniem zakulisowych informacji politycznych głównie w Sejmie, z których sporządzałem krótkie informacje w uruchomionym dziale plotek politycznych. Popularnym współpracownikiem był Leon Jarumski, fotograf, którego zdjęcia urozmaicały codziennie pierwszą stronę pisma. Stanisław Mioduszewski prowadził dział morski, Zdzisław Andrzejewski — obok Krukowskiego — zajmował się techniczną stroną pisma. Naszym współpracownikiem był ruchliwy, pełen inicjatywy, znany mi już ze Lwowa Józef Radziwiński, który w czasie wojny, pełniąc jakąś niebezpieczną funkcję łącznika między Polską a Zachodem, zginął z rąk gestapo. Był świetnym i dynamicznym reporterem o dużych ambicjach, pełnił funkcję korespondenta zagranicznego i prawdopodobnie pozostawał na usługach „dwójki”. Współpracował z redakcją również Leon Tuhan-Baranowski, z pochodzenia Tatar, który był wybitnym szachistą i prowadził u nas dział szachowy. Tuhan-Baranowski nie zapisał się jednak dobrze w czasie wojny. Nie uważaliśmy go nigdy za człowieka dostatecznie normalnego. W czasie pierwszych dni wojny Baranowski uległ atakowi obłędnego strachu. Wybrał się wtedy pociągiem wiozącym stu dziennikarzy z Warszawy do Lwowa, o czym będę później wspominał, ale na jednej ze stacji

podwarszawskich uciekł z pociągu, wracając do Warszawy, gdzie rozgłosił, że cały nasz transport został rozbity, a wszyscy dziennikarze zginęli. Nie było w tym ani słowa prawdy. W r. 1941 Tuhan-Baranowski, którego rodzice zginęli w czasie Rewolucji Październikowej, uległ psychozie antykomunistycznej do tego stopnia, że po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej zgłosił się do Wehrmachtu w charakterze tłumacza. Widywano go w Warszawie w mundurze hitlerowskim. Został przez nas solidarnie potępiony. Zginął w katastrofie samochodowej w Niemczech.

Do redakcji wchodził ponadto lub z nią współpracowali: E. Falkowski, Jerzy Horzelski, J. Jaszczyc (reportaż), Roman Wojciechowski (sprawy wsi), młody dziennikarz ukraiński Jarosław Dryhynycz, który w „Kurierze Porannym” do 1938 r. redagował kolumnę ukraińską w duchu petlurowskim.

Charakterystyczną i popularną postacią w redakcji była Wiesława Krotke, pracownica wydawnictwa, załatwiająca na terenie redakcji różne sprawy administracyjne. Była to nieco zdziwaczała stara panna, która swoje zajęcia uważała za wyróżnienie ze względu na stały kontakt z redaktorami. Podobno potajemnie kierowała swoje szczególne sentymenty do Dunin-Wąsowicza, już wówczas starszego pana, co szczególnie dla młodszych stawało się źródłem różnych dowcipów. Sam Wąsowicz, mając duże poczucie humoru, a niepokojony przez Krotke np. z powodu zbyt częstej — jej zdaniem — nieobecności redaktora, zostawiał w takich wypadkach karteczkę na swoim biurku z informacją: „przepraszam, ale wyszedłem na siusiu” i adresował ją do swojej wielbicielki. W ten sposób usiłował ją do siebie zniechęcić, ale bez rezultatu.

Ciekawostką w tym bujnym, ludzkim wachlarzu byli korektorzy „Kuriera”. Oprócz Krajewskiego korektę prowadzili dwaj młodzi studenci Poździk i Mikołaj Szklar. Obaj, jak się okazało po zakończeniu wojny, byli już w tym okresie członkami Komunistycznej Partii Polski. Poździk w czasie wojny został wyższym oficerem I Armii WP, a Szklar, ożeniony z Żydówką, która w czasie wojny zginęła w getcie warszawskim, jest artystą-grafikiem.

Współpracowali z piśmie Pola Gojawiczyńska, Melchior Wańkowicz, Maria Jasnorzewska-Pawlikowska, Tadeusz Breza, Jehanne Wielopolska, Kazimiera Muszałówna, mąż Wielopolskiej Jerzy Strzemię-Janowski, zamiłowany znawca koni, Janusz Laskowski, młody wówczas poeta ludowy Stanisław Piętaś, Józef Łobodowski, aby wymienić tylko kilku, bo wachlarz pisarzy i publicystów przez cały czas do samego końca pozostał ogromny. Wielopolska, w owym czasie już starsza pani utykająca na nogę, staromodnie ubrana w długą po kostki suknię, uchodziła w redakcji za „osobistego wroga Pana Boga”, a mnie — pojęcia nie mam dlaczego — darzyła szczególną sympatią. Była nieprzytomną antyse-

mitką, co świetnie godziła z poglądami radykalno-postępowymi, prowadząc bezustanne boje z papieżem i klerem i na te tematy podejmując ze mną nie kończące się dysputy i ciągle mnie namawiając, aby z „Kuriera” usunąć wszystkich Żydów. Z równym uporem odpowiadałem jej, że nie widzę żadnej tego potrzeby, ponieważ są to współpracownicy zarówno pożyteczni i zdolni, jak bardzo mili i przyjemni. W końcu świadomie unikałem rozmów z Wielopolską, ponieważ było w niej coś z nieszkodliwego, ale męczącego maniactwa.

Nie można pominąć tu także reszty autorów, stale lub sporadycznie współpracujących z nami w latach 1937—1939. Byli wśród nich m. in.: Zofia Starowieyska-Morstinowa, Paweł Hulka-Laskowski, Mieczysław Lepecki, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz, Stanisław Gierat, Antoni Plutyński, Władysław Kosieradzki, Zygmunt Wojciechowski, Stanisław Świdorski, Witold Gombrowicz, Stefan Otwinowski, Waclaw Iwaniuk, Karol Irzykowski, Halina Dąbrowska, Leon Stachórski, Barbara Podolska, Zofia Bernadzikiewiczowa, Rosa Bailly, Janina Kilian-Stanisławska, Antoni Deryng, Michał Assanka-Japoł, Tadeusz Pelczarski, Stefania Łobaczewska, Jan Brzękowski, Antoni Marczyński, Stanisław Kazur, Ludwik Puget, Jan Ostrowski Naumoff, Michał Choromański, Olgierd Górka, Eugeniusz Piestrzyński, Jan Dąbrowski, Maria Mikowska, Maciej Freudmann, Jerzy Danielecki, J. Burkath, Alfred Łaszewski, Antoni Miller, Zygmunt Mycielski, Stefan Kisielewski, Mieczysław Smolarski, Józef Czechowicz, Mieczysław Piszczkowski, Michalina Grechowicz Hausnerowa, Zdzisław Marynowski, H. Schayer, Jerzy Poznański, Władysław Maliniak, Antoni Langer, Z. J. Pełczyński, Maksymilian Maksymowicz, Z. Stanisław Klingsland, Stanisław Glass, Franciszek Galiński, Jerzy Drobnik, Leon Przybyszewski, Halina Krueger, Włodzimierz Lewik, nie mówiąc o kolumnie literackiej „Apel”, o której autorach będzie później mowa. Do imprez artystyczno-propagandowych „Kuriera” zgłaszali swój udział: J. Kaden Bandrowski, K. Makuszyński, oczywiście Boy-Zeleński, z aktorów Kazimierz Krukowski, Tadeusz Olsza, Józef Orwid, Maria Karwowska, Lucyna Szczepańska, Wanda Wermińska, Mieczysława Cwiklińska, Irena Eichlerówna, Kazimiera Łubieńska. W pół roku po objęciu przez nas redakcji Pola Gojawiczyńska podjęła na łamach „Kuriera Porannego” druk powieści *Stupy ogniste*. Gojawiczyńska należała do grona zaprzysiężonych przyjaciół naszego pisma. Drukowała w nim już poprzednio nowele: *Lipy*, *Bezrobocie*, *Imieniny*, *Ich troje*, *Wigilię*, *Zywą reklamę*. Nam ofiarowała całą powieść i pozostała wierna i przyjazna do samego końca, jak tylu innych. W rok później, jesienią 1938 r., na rok przed wojną, sam Jalu Kurek na łamach „Kuriera Porannego” redagowanego przez nasz zespół rozpoczął drukowanie powieści *Młodości, śpiewaj*.

Ten długi rejestr znakomitych, w większości nazwisk i ludzi darzących zaufaniem pismo pod redakcją Piestrzyńskiego i moją wystarcza za całą argumentację. Był to i jest nadal bezsporny dowód, że kierunek i postawa pisma odpowiadały tym ludziom, a w każdym razie nie raził ich do tego stopnia, aby mieli zrezygnować z współpracy z nami. Nie mogę pominąć faktu, że w gronie zarówno redakcyjnym, jak wśród współpracowników była znaczna grupa Żydów, z którymi współpracowaliśmy w pełnej, wzajemnej harmonii. Wspominam o tych sprawach głównie dlatego, aby zapobiec inspirowanej legendzie, jakoby w ostatnim okresie „Kuriera Porannego” pismo to znalazło się w izolacji i nie znajdowało poparcia ze strony ludzi pióra. Było akurat odwrotnie. Wybitnych autorów mieliśmy zawsze za wielu, nigdy za mało, a dowodów sympatii nawet ze strony tych, którzy z początku patrzyli na nas bokiem, nie brakło, i czuliśmy się w tym piśmie związani z zespołem, tak jakbyśmy współpracowali z nim od długich lat. Więzy wzajemne okazały się tak silne, że zachowały się i rozwinęły jeszcze silniej i serdeczniej podczas wojny i okupacji, nie przerwały się także po jej zakończeniu.

Wspominam ten okres w moim dziennikarskim rejestrze jako jeden z najbardziej uroczych i niezapomnianych właśnie ze względu na miłe stosunki łączące mnie z ówczesnym środowiskiem „Kuriera Porannego”, na panującą tam serdeczną atmosferę wzajemnej koleżeńskiej i politycznej współpracy, idealną harmonię wiążącą cały zespół i zaufanie, które było podstawą naszej współpracy. Osobiście nie doznałem od kolegów i koleżanek, przyjaciół i współpracowników pisma ani jednej przykrości, przeciwnie, miałem zawsze bardzo wiele dowodów sympatii, przyjaźni, solidarności i zaufania. Z żadnym z zespołów, w których w moim życiu pracowałem, więzy przyjaźni nie okazały się tak trwałe przez dziesiątki lat, jak te, które nawiązałem z kolegami i koleżankami z tamtego, bezpośrednio przedwojennego okresu warszawskiego. I to stanowi dla mnie rozstrzygający dowód, że współpraca w „Kurierze Porannym” tego okresu była oparta na solidnych podstawach ludzkiego współzycia. Legendy na temat „izolacji” pisma w następstwie obecności w nim mojej i Piestrzyńskiego były w świetle tych faktów sztucznie wytwarzanym mitem, pozbawionym jakichkolwiek podstaw. Źródłem tej kampanii były niektóre sfery żydowskie, wspierane przez szczupłe grono współpracowników niezadowolonych ze zmian personalnych, które przekazały dysponowanie pismem w nasze ręce. Nie oznaczało to wcale zmiany niemożliwej do przyjęcia przez malkontentów, którzy przecież do tej pory reprezentowali w piśmie ten sam zasadniczy kierunek, co i my po jego objęciu. Stpiczyński jako redaktor pełen niepokoju i gwałtowności redagował pismo może z większą werwą aniżeli my, ale na tym różnice się kończyły. Pozostaje jednak faktem, że większość tradycyjnych czytelników

ków ze sfer żydowskich odeszła od redagowanego przez nas „Kuriera”, chociaż współpracownicy żydowskiego pochodzenia gremialnie w nim pozostali. Nic więcej dla usatysfakcjonowania żydowskich odbiorców pisma nie mogliśmy uczynić; skoro nawet współredagowanie pisma przez kolegów Żydów nie wystarczało, zrozumieliśmy, że idzie o zwyczajną nagonkę, której nic powstrzymać nie mogło. Bez szczególnych kłopotów dotrwaliśmy jednak do końca. „Kuriera Porannego” wraz z całą prasą polską zlikwidował dopiero najazd hitlerowski.

Zespół redakcji składał się w dużej części z ludzi młodych, chociaż znajdowali się wśród nas również seniorzy. Seniosem redakcji był Jerzy Wiewiórski, zajmujący osobny, zagracony pokój, do którego wchodziło się wprost z małego hallu redakcyjnego, miejsca codziennych spotkań całej redakcji. Wiewiórski, wychowanek uniwersytetu bodaj petersburskiego, miał w sobie wiele z dostojewszczyka. W jego rękę spoczywała praktycznie redakcja, plan numeru, adiustacja materiałów i rozmowy z licznymi gośćmi redakcji. Całymi godzinami przesiadywała u „Wiewióra” Pola Gojawiczyńska i inni luminarze literatury oferujący dziennikowi swoje powieści, nowele i felietony. Sekretarz redakcji wyróżniał się dużym czarem osobistym, a że hołdował chętnie skłonnościom właściwym cyganerii, cieszył się sympatią całej redakcyjnej młodzieży. Wchodziło się do niego bez przerwy. W południe, gdy przychodził z domu, witał każdego powiedzonkiem: „Życie jest piękne”. Wtedy na pewno było piękne, potem za to stało się okrutne i bezlitosne. Doświadczyło nie tylko „Kuriera” i nas wszystkich, ale także wyznawcę tej prostej, niemalże banalnej maksymy. Z Wiewiórskim odbywaliśmy wspólne nocne zebrania zespołu przy długim, ogromnym stole w wielkiej sali „Kuriera Porannego”, gdzie znajdowały się słynne rysunki i karykatury z okresu Fryzego. Zakąski, zimne i gorące, po zniżonych, sąsiedzkich cenach pochodziły z pobliskiej „Adrii”, która bezinteresownie dorzucała oprócz tego kilka flaszek czystej wódki. Kończąc numer, odprawialiśmy te raczej umiarkowane niż nadmierne libacje do białego rana, po czym kupowaliśmy na ulicach od kwiaciarek świeże bukiety, aby przebłągać nimi nasze „zaniedbane” małżonki.

Życie towarzyskie redakcji toczyło się bardzo ożywionym nurtem. Naszym stałym lokalem był Wróbel u wylotu Mazowieckiej przy placu Dąbrowskiego, gdzie często trzeba było szukać zaginionych kolegów, nieodzownie potrzebnych w redakcji. Na kawę chodziło się w późniejszym okresie do świeżo otwartej kawiarni, która była filią Café Clubu, powstałą bodaj po zlikwidowaniu mieszczącej się tam dawniej firmy Hersego. Były modne jednak także i inne lokale. Przy większej gotówce zachodziło się na ul. Widok do Bachusa, gdzie zatrzymywaliśmy się w lokalu śniadankowym przy znakomicie zaopatrzonym bufecie i zwyczajowo stawia-

nej na stole, zalakowanej flaszcze czystej, zamrożonej wódki. Na ogół nie odchodziło się stamtąd przed jej wypróżnieniem, choćby w spotkaniu uczestniczyło tylko dwu partnerów. Naprzeciw „Kuriera” mieścił się słynny lokal Hirschfelda z niezastąpionymi specjalnościami kuchni żydowskiej. Stamtąd sprowadzaliśmy do redakcji obfitsze, popołudniowe śniadania. Natomiast kawę przyrządzali woźni, którzy w swoim pokoju u wejścia do redakcji parzyli ją dniem i nocą.

Woźnych w redakcji było trzech: Eisele, który w czasie wojny podpisał volkslistę i podobno został dlatego zastrzelony, Czesław i Lucjan, których nazwisk nie pamiętam. To Lucjan właśnie w pamiętną noc z 5 na 6 września odprowadził mnie do „Kuriera Warszawskiego” przed moim wyjazdem ze stolicy i tam płakaliśmy obaj, żegnając się i przyrzekając, że się niebawem spotkamy. Nie widzieliśmy się już więcej w życiu. Była również woźna, pani Stasia, która prowadziła archiwum zdjęć i w ten sposób do pewnego stopnia należała do zespołu pracowników redakcji. Ceniliśmy i szanowaliśmy ją jako niezawodną i solidną pracownicę i koleżankę. Kilku innych woźnych urzędowało poza tym w administracji, gdzie pełnili swoje funkcje u wejścia do budynku od ulicy; zanim delikwent dostał się po schodach na piętro redakcyjne poddawany był przez woźnych dyskretnemu badaniu co do celu i osób, do których zamierzał się udać. Celem tych indagacji było nie tyle bezpieczeństwo samej redakcji, ile utrudnienie do niej dostępu różnego rodzaju interesantom, przybywającym do młodszych szczególnie członków redakcji, obciążonych zobowiązaniami finansowymi, nie zapłaconymi rachunkami itp. W stosunku do wierzycieli czy innych natarczywych klientów woźni byli zaporą niezawodną; stosowali tu banalną zresztą metodę. Dzwonili do redakcji pytając danego redaktora, po czym komunikowali gościowi, że „pana redaktora nie ma i nie będzie przez kilka dni”. W ten sposób udawało się nieraz odroczyć trudności niejednemu bardziej lekkomyślnemu koledze. Współpraca woźnych z zainteresowanymi redaktorami była w tej dziedzinie wzorowa.

W głównym korytarzu na parterze, do którego wchodziło się wprost z ulicy, mieściła się kasa; urzędował w niej niezapomniany stary Podgórski, starszy od nas wszystkich, zadomowiony współpracownik wydawnictwa, który wyróżniał się gołęmbim sercem szczególnie wobec naszych młodszych kolegów, potrzebujących chronicznie grosza, stale nienasyconych. Jedynym ratunkiem pozostawał wtedy Podgórski, który mógł wypłacić dyskrecyjnie kilkuzłotowe zaliczki. Obrrotniejsi umieli tak omotać pocziwego kasjera, że sumy tych drobnych zaliczek przekraczały ich miesięczne pobory, co nieraz wpędzało ich później w poważne tarapaty finansowe. Ich rozwikłanie obciążało Podgórskiego, który stał się z czasem powiernikiem wszystkich klientów korzystających z za-

liczek. Niezawodnym argumentem, rozbrajającym do reszty poczciwego kasjera rozumiejącego prawa młodości, było wyznanie, że zaliczka 5 zł ratuje przed fiaskiem upragnione spotkanie z młodą dziewczyną, która właśnie oczekuje na umówionym miejscu; wszystko — zdaniem petentów — zależało od decyzji Podgórskiego. Pomysłowym specjalistą w takim właśnie wyłudzeniu zaliczek był Marian Szydłowski, ale inni nie byli gorsi. W rezultacie w kasie Podgórskiego było więcej kwitków z zaliczkami niż gotówki.

Na czele wydawnictwa stał za naszych czasów zarząd złożony ze wspomnianej już Janiny Hołówkowej jako dyrektora wydawnictwa, Zdzisława Grabskiego, syna byłego premiera Władysława Grabskiego, i Karola Wędziagolskiego, który był jednym z najbliższych ludzi Śmigłego, a nawet Piłsudskiego. Pełnił on różne misje w czasie wojny polsko-radzieckiej jako emisariusz do wojsk bodaj Denikina czy Wrangla i pośrednik w rozmowach z Sawinkowem. Hołówkowa była kobietą pełną nieopanowanego dynamizmu. Stosunki z nią nie układały mi się najlepiej, ponieważ związana z okresem Stpiczyńskiego w ogóle niechętnie patrzyła na dokonane zmiany. Należała do typu niewiast władczych, porywczych i egzaltowanych, przekonanych, jak to czasem bywa, o swojej szczególnej misji z tytułu wdowieństwa po głośnym mężu-polityku. „Kurier” uważała w dużym stopniu za swoją osobistą domenę, w której winna pełnić rolę strażniczki dotychczasowej linii, uosobionej w postaci Stpiczyńskiego i jego nieuchwytnych zasad „lewicowości” i „demokracji”. Ponieważ Hołówkowa nie była w ogóle politykiem, interpretacja głoszonych przez nią zasad stanowiła mieszaninę swoistego chaosu i niekonsekwencji. Nie miałem nigdy szczególnego nabożeństwa do samodzielnej, kierowniczej roli kobiet ani do ich uzdolnień i misji politycznych, byłem więc nieraz w kłopotach wysłuchując różnych mętnych teorii Hołówkowej, która wyróżniała się przy tym przesadną pewnością siebie. W chwilach bardziej wylewnych dawała do zrozumienia, że o jej rękę stara się ambasador Juliusz Łukasiewicz z Paryża, widocznie jednak sprawy na tym odcinku ułożyły się inaczej, gdyż nic z tych zapowiedzi nie wyszło. Niemniej była to kobieta bezpośrednia i energiczna, wspominam ją dobrze i z sentymentem. Po raz ostatni spotkałem Hołówkową po Powstaniu Warszawskim w pociągu podmiejskim z Warszawy do Milanówka. Opowiedziała mi wtedy pokrótce o swoich tragicznych przejściach w rejonie Ochoty. Umarła w 1965 r., bodajże w Gdańsku.

Po jakimś czasie na tle zatargów wydawniczych dwaj partnerzy z zarządu usunęli ją ze stanowiska dyrektora i Hołówkowa odeszła z „Kuriera”. Jej zaufanym w dyrekcji był Stanisław Raczkowski, robiący wrażenie młodego bufona wykorzystującego poparcie szefowej. Z zakończeniem więc współpracy Hołówkowej zakończyła się także kariera Raczk-

kowskiego i na czele dyrekcji stanął Mieczysław Orłowski, który dotrwał do końca. Szczególnie wartościowym współpracownikiem administracji był Antoni Śliwiński, który w koszmarnych dniach września wykazał prawdziwy charakter i godną szacunku wytrwałość. Ale to były czasy późniejsze. Tymczasem Śliwiński pełnił funkcję szefa działu ogłoszeń, wykonując to zadanie znakomicie, ponieważ był w tej dziedzinie wytrwałym fachowcem.

„Kurier Poranny” borykał się zawsze ze znacznymi trudnościami finansowymi, pomimo że miał nie najgorszy nakład i sporo ogłoszeń. Był jednak, jak się zdaje, zbyt rozbudowany i posiadał za wielki personel. Ograniczenie wydatków nie było zadaniem łatwym. Pismo ze względu na swoją tradycję i pozycję nie chciało obniżyć lotu, miało wysokie ambicje, utrzymywało znaczną sieć korespondentów zagranicznych, nie ograniczało też wydatków na wierszówki dla współpracujących z „Kurierem” kosztownych pisarzy; było wśród nich wielu luminarzy, bez których współpracy pozycja „Kuriera” wśród dzienników warszawskich i prowincjonalnych byłaby znacznie skromniejsza. Wszystkie te serwituty i obowiązki ciążyły na budżecie pisma, które będąc jednym z dwu głównych organów rządowych nie mogło pozwolić sobie na zbyt daleko idące ograniczenie. Konkurencja na rynku była ogromna.